



JOAN JOHNSTON

Bez miłości

PROLOG

- Czy coś się stało, panno Littlewolf?

Rebecca otarła łzy z policzków i spojrzała w ciepłe, brązowe oczy pani Fortunaty otoczone siecią drobnych zmarszczek.

- Nie, nic. Chyba po prostu jestem trochę zmęczona.

Obydwie kobiety zaprzyjaźniły się ze sobą, pracując w szpitalu dziecięcym. Pani Fortunata, niska, pulchna Włoszka, co wieczór zmywała tu podłogi, Rebecca zaś pracowała jako pielęgniarka na oddziale dzieci chorych na raka.

Szpitalny bufet był już prawie pusty. Zmiana Rebeki skończyła się przed półgodziną, ale dziewczyna nie miała siły, by wstać i pójść do domu.

- Nie oszukasz mnie - pokręciła głową pani Fortunata. - Masz zaczerwienione oczy. To znaczy, że albo złapałaś grype, albo czymś się martwisz. O co chodzi?

- Dzisiaj umarł Timmy Carstairs.

- Nie powinnaś tak się przejmować tymi dziećmi - rzekła łagodnie starsza kobieta.

- Wiem - westchnęła Rebecca, przewyciężając ucisk w gardle - Próbuję zgadywać, które z nich przeżyją, a które nie. Myślałam, że Timmy będzie należał do szczęśliwców. Nabrał mnie. - Próbowała się uśmiechnąć, ale jej usta gwałtownie zadrżały.

Pani Fortunata odsunęła wiadro, usiadła obok młodej kobiety i

pogładziła ją po dłoni.

- Taka miła dziewczyna jak ty powinna teraz wrócić do domu, do męża i swoich dzieci.

Rebecca znów spróbowała się uśmiechnąć. Pani Fortunata nie traciła nadziei, że Rebecca wyjdzie za mąż. I że będzie miała dzieci.

- Może kiedyś tak będzie.

- Powtarzasz to od dwóch lat, od kiedy cię znam - zachnęła się pani Fortunata. - Dlaczego nigdy nie widuję cię z żadnym mężczyzną? Odkąd pożegnałaś się z tym Martym Jak-mu-tam-było, z nikim się nie spotykasz: Masz coś przeciwko mężczyznom?

Tym razem Rebecce udało się uśmiechnąć szczerze.

- Nie. Lubię mężczyzn.

- Jeszcze nie spotkałaś tego właściwego, tak? Rebecca cofnęła rękę i w milczeniu sięgnęła po wystygłą kawę. Już wiele lat temu spotkała właściwego mężczyznę. Tylko że ona nie była odpowiednią kobietą dla niego.

- Co zrobisz ze swoim życiem - mówiła pani Fortunata, gestykulując z rozmachem - jeśli nie znajdziesz sobie męża i nie urodzisz dzieci?

- Chciałabym prowadzić letnie obozy dla dzieci chorych na raka - odrzekła Rebecca. Marzyła o stworzeniu miejsca, gdzie jej mali pacjenci, u których choroba stabilizowała się albo cofała, mogliby się poczuć jak zwykle, zdrowe dzieci. Potrzebowaliby wykwalifikowanej opieki, jakiej nie można było im zapewnić na zwykłym obozie. - Muszę tylko znaleźć jakiś sposób na sfinansowanie tego pomysłu. Pewnie

nigdy mi się to nie uda, ale zawsze można pomarzyć.

- Każdy ma jakieś marzenia. Ale trzeba coś robić, żeby się spełniły. Ja bym chciała kiedyś przestać myć podłogi.

- Coś takiego! Myślałam, że lubi pani to zajęcie - zaśmiała się Rebecca.

- Coś ci powiem. Kiedy już zorganizujesz ten obóz, to mnie zatrudnisz. Będę dla ciebie pracować i wtedy przestanę myć podłogi. - Pani Fortunata pstryknęła powykręcany przez reumatyzm palcami. - A póki co, popatrz na to - dodała, wyjmując z kieszeni wielkiego białego kombinezonu poszarpany fragment gazety. - Ty potrzebujesz męża, a tu jest mężczyzna, który potrzebuje żony. Zadzwoń do niego.

Rebecca ze zdumieniem wpatrywała się w ogłoszenie w gazecie z Dallas.

Poszukują żony!

Teksański ranczer szuka uczciwej, odpowiedzialnej, uległej kobiety w celu matrymonialnym. Musi być zdolna do rodzenia dzieci. Kontakt: Zachary Whitelaw, Sokole Wzgórze, telefon 555-6748.

- Znam tego człowieka! - wykrzyknęła.

- Naprawdę? - zdziwiła się pani Fortunata. Rebecca z podnieceniem skinęła głową.

- Mój ojciec pracował jako zarządca na jego ranczu. Mieszkałam na Sokolim Wzgórzu od trzynastego do siedemnastego roku życia.

- A dlaczego się stamtąd wyprowadziłaś?

- Ojciec zmarł na serce. Za pieniądze z ubezpieczenia poszłam do college'u i nie miałam żadnego powodu, żeby tam wracać.

- Teraz masz powód. Spotkaj się z tym człowiekiem i powiedz mu, że chcesz zostać jego żoną.

- Nie mogę tego zrobić.

- Dlaczego?

- Już kiedyś mi powiedział, żebym się od niego odczepiła. Nie chcę usłyszeć tego po raz drugi.

- Aha! To dlatego nie podobają ci się inni mężczyźni!

- Tego nie powiedziałam.

- Wiem, czego nie powiedziałaś - przerwała jej pani Fortunata. - Kochałaś go. To dobrze. Tym razem nie daj mu się wymknąć.

- Pani Fortunato...

- Żadnych wykrętów. Jedź tam i wytłumacz mu, że będziesz dla niego dobrą żoną.

- Ale niech pani spojrzy na datę! - zawołała Rebecca z desperacją. - To ogłoszenie pochodzi sprzed trzech tygodni! Na pewno znalazł już jakąś kandydatkę na żonę.

- Może tak, a może nie.

- Nie mogę tego zrobić!

- A na co chcesz czekać? Działaj szybko, bo zostaniesz samotną staruszką, tak jak ja.

- Przecież była pani żoną pana Fortunaty przez czterdzieści lat - zaśmiała się Rebecca. - Ma pani dziesięcioro wnuków!

- Moje dzieci rozjechały się po całym kraju. Nie widuję wnuków tak często, jak bym chciała. Tęsknię za nimi. A ty, jeśli będziesz się zachowywać tak jak dotychczas, to nie doczekasz się nawet wnuków,

za którymi mogłabyś tęsknić!

Rebecca znów się zaśmiała.

- Dobrze, poddaję się. Pojadę na Sokole Wzgórze. Z góry jednak wiedziała, że nic z tego nie wyjdzie.

Zach Whitelaw już kiedyś kazał jej się od siebie odczepić. Co prawda, miała wtedy zaledwie siedemnaście lat...

Może, zmieni zdanie, gdy zobaczy dojrzałą, dwudziestotrzyletnią kobietę?

ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Widziałam twoje ogłoszenie. Chcę zgłosić swoją kandydaturę. Zach Whitelaw wpatrzył się ze zdumieniem w stojącą za drzwiami kobietę w białym bawełnianym podkoszulku, dżinsach i wysokich butach.

- Becky? Czy to naprawdę ty? - Powoli na jego twarzy pojawił się uśmiech. Otworzył drzwi szerzej i dodał: - Wejdz, mała.

- Nie jestem...

- ...mała - dokończył, pociągając za długie, czarne pasmo jej włosów, opadające na ramiona. Przyjrzał jej się dokładnie, nie przestając uśmiechać się z rozbawieniem. Ich oczy spotkały się i twarz Zacha spoważniała. - Dawno cię nie widziałem.

- Sześć lat.

- Naprawdę minęło aż tyle czasu?

Rebecca skinęła głową. Znosiła tę inspekcję w milczeniu, ale nie potrafiła nic poradzić na rumieniec, który wypełził na jej policzki i zabarwił brzoskwiniową cerę, odziedziczoną po przodkach z plemienia Komanczów, na głębszy odcień.

- To prawda. Z pewnością nie jesteś już dzieckiem - przyznał Zach w końcu. - Co się z tobą działo przez te wszystkie lata?

- Zostałam pielęgniarką. Pracuję w Szpitalu Dziecięcym w Dallas.

- No, jasne - uśmiechnął się. - Ostatnim razem widziałem cię w towarzystwie kundla z postrzępionymi uszami, który kuśtykał za tobą na szczudle przywiązany do złamanej nogi. Co się z nim stało?

- Nazywa się Pepper. Zostawiłam go u przyjaciół w Dallas.

- Czy nadal opiekujesz się wszystkimi bezradnymi kalekami, które pojawiają się na twojej drodze?

- Musiałam się trochę ograniczyć - przyznała Rebecca z uśmiechem. - Mam za małe mieszkanie.

- Gdy mieszkałaś tutaj z ojcem, miałaś całkiem sporo podopiecznych. Wszystko tam było, od skunksa aż po węża.

- Nie mogę znieść widoku cierpiącej istoty - wyjaśniła dziewczyna swobodnie. - To moja największa wada.

- Pewnie ciężko jest pracować z chorymi dziećmi - rzekł Zach.

- Czasami - przyznała Rebecca, wciąż stojąc na progu kuchni.

Ten dom przywodził jej na myśl wiele wspomnień. Gdy miała trzynaście lat, bez pamięci zakochała się w Zachu. Próbowwała mu dać

do zrozumienia, że potrafiłaby nauczyć się dobrze całować, gdyby tylko miała z kim poćwiczyć. On jednak ignorował wysyłane przez nią sygnały. Traktował ją jak młodszą siostrę. Pozwalał, by towarzyszyła mu przy pracy, okazywał jej wiele cierpliwości i niespostrzeżenie nauczył wszystkiego o pracy na ranchu. Ale nigdy jej nie pocałował.

Niestety, zanim Rebecca podrosła na tyle, by wpaść mu w oko, Zach zakochał się w innej, dwudziestodwuletniej kobiecie. Omal nie umarła z rozpaczy, gdy usłyszała, że Zach chce się ożenić z Cynthią Kenyon.

- Nie możesz się ożenić! - krzyczała. - Nie możesz!
- Posłuchaj, mała...
- Nie jestem mała, jestem już kobietą! Roześmiał się. Śmiał się z niej!

- Posłuchaj, mała...
- Nie nazywaj mnie tak!
- Jesteś jeszcze dzieckiem - rzekł łagodnie. - Piękną szesnastolatką, której nikt dotychczas nie całował. Poczekaj jeszcze trochę, a za kilka lat na pewno pojawi się jakiś mężczyzna, który zakocha się w tobie na śmierć i życie.

Rebecca spojrzała na niego z przerażeniem, uświadamiając sobie naraz, że Zach nie ma zamiaru czekać, aż ona dorośnie. Ożeni się z Cynthią Kenyon, ona zaś straci go na zawsze.

- Głupi jesteś! - zawołała. - Niczego nie rozumiesz! Obróciła się na pięcie i uciekła. Nie chciała nikogo widzieć. Pragnęła jedynie znaleźć miejsce, gdzie mogłaby się ukryć i w samotności przeżywać

swoje cierpienie. W kilka godzin później ojciec znalazł ją na stryszku stodoły. Było to jej najpiękniejsze wspomnienie z nim związane. Usiadł na słomie, posadził ją sobie na kolanach i mocno przytulił, ona zaś szlochała, przepelniona rozpaczą. W końcu poczuła się zupełnie wyczerpana. Ojciec łagodnie otarł chustką jej twarz.

- Wiem, że teraz myślisz, iż spotkało cię najgorsze z nieszczęść - powiedział. - Ale któregoś dnia dorośniesz i zakochasz się. Wtedy zrozumiesz, że to było tylko dziecinne zauroczenie.

Uwierzyła mu, a w każdym razie próbowała. Te słowa nie mogły jednak pocieszyć nastolatki ze złamanym sercem.

Gdy następnym razem zobaczyła Zacha, udało jej się wyjąkać:

- Chciałabym ży-życzyć tobie i Cynthii w-wiele szczęścia i miłości.

Zach po bratersku otoczył ją ramieniem i żartobliwie przesunął kciukiem po jej brodzie.

- Bardzo się cieszę, mała.

Unikała go przez tydzień. W końcu uznała, że dopóki może, będzie się cieszyć jego towarzystwem. Ale po tym wydarzeniu stosunki między nimi nigdy już nie były takie same. Kilkakrotnie pochwyciła jego ukradkowe spojrzenie. Zach obserwował ją z dziwnym wyrazem twarzy. Rebecca czuła się nieswojo.

Na dwa dni przed planowanym ślubem Cynthia zginęła w katastrofie samolotu. Dla Rebeki była to ciężka próba charakteru. Jakoś udało jej się wyrazić przyjacielowi współczucie, ale Zach był niepokieszony. Miała jeszcze słabą nadzieję, że może zechce się z nią

podzielić swą rozpaczą.

Nie zechciał.

Przez te wszystkie lata, wbrew temu, co mówił jej ojciec, Rebecca nigdy nie przestała kochać Zacha. Od czasu do czasu spotykała się z jakimś mężczyzną, a raz nawet była zaręczona. Ale Zach Whitelaw stał się wzorcem, do którego porównywała wszystkich innych. Zerwała zaręczyny z Martym Jak-mu-tam-było, jak nazwała go pani Fortunata, gdy uświadomiła sobie, że nieustannie porównuje go do Zacha.

- Wejdiesz? - zapytał wreszcie.

Wkroczyła do kuchni, niespodziewanie przytłoczona obecnością mierzącego metr osiemdziesiąt Zacha. Przechodząc obok niego, niechcący otarła się piersiami o jego tors. Wstrzymała oddech. Obydwoje zastygli. Po chwili Zach pochwycił ją mocno za ramiona i odsunął od siebie.

- Twoja taktyka tym razem nie przyniesie ci więcej pożytku niż poprzednio - powiedział brutalnie.

Rebecca spojrzała w jego ciemne, groźne oczy.

- Nie miałam zamiaru cię dotykać. To był przypadek.

- Tak jak wtedy?

Obydwoje wiedzieli, co ma na myśli. Podobne napięcie powstało między nimi już kiedyś w przeszłości, po pewnym incydencie, który wydarzył w rok po wypadku Cynthii. Rebecca miała wówczas siedemnaście lat i przygotowywała się do wyjazdu na studia. Po śmierci narzeczonej Zach stał się posepny i małomówny. Nadal nie

traktował zakochanej w nim siedemnastolatki jak kobiety. Rebecca wybrała więc odpowiednią chwilę i gdy byli sami w stodole, niby przypadkiem potknęła się i upadła na niego.

Zach gwałtownie wciągnął oddech, gdy ich ciała zwały się ze sobą. W złocistych promieniach słońca wirowały smugi kurzu. Dokoła unosił się ostry zapach siana i nawozu.

Objął ją w pasie, jakby chciał odepchnąć, ale nie zrobił tego. Ich twarze prawie się zetknęły. Rebecca poczuła na policzku ciepły, wilgotny oddech Zacha i bez zastanowienia dotknęła ustami jego warg. Zdumiona była ich miękkością. Zach jednak gwałtownie odsunął twarz i odepchnął rozczarowaną Rebecę. Uśmiechnęła się, ale on spoglądał na nią ponuro.

Patrzyła na niego z rozpaczą. Usta miał mocno zaciśnięte, a w oczach pojawił się chłód. Zwinął dłonie w pięści, aż kostki palców zbieleły.

- Nigdy więcej tak nie rób - powiedział ostro.
- Czego mam nie robić? - zapytała z niewinnym wyrazem twarzy.
- Posłuchaj, mała. Nie prowokuj mnie, bo za chwilę znajdziesz się na ziemi, a ja na tobie.

Zarumieniła się, speszona jego otwartością, i znów spróbowała zaprzeczać.

- Ja nie...
- Lubię cię - powiedział już spokojniej. - Ale nie nadaję się dla ciebie. Trzymaj się ode mnie z daleka.

- Nie jestem... - zmarszczyła nos.
- ...dzieckiem? Masz siedemnaście lat. Daj sobie czas, żeby dorosnąć. A potem poszukaj mężczyzny, który będzie cię kochał, wyjdź za niego i ródź mu dzieci.
- Ale ja chcę ciebie! - zawołała. Uśmiechnął się z goryczą.
- Ja nigdy cię nie pokocham, mała. Trzymaj się ode mnie jak najdalej.

Właśnie to wydarzenie sprawiło, że przez ostatnie lata Rebecca trzymała się z dala od Zacha. Teraz zobaczyła w jego oczach ten sam ostrzegawczy wyraz i cofnęła się o krok.

- Dlaczego szukasz żony przez ogłoszenie, Zach? Wydawało mi się, że możesz mieć każdą kobietę, jakiej zapragniesz...
- Prawdę mówiąc, nie szukam żony.
- Jak to?
- Potrzebuję po prostu kobiety, która urodzi mi dzieci. Dałem to ogłoszenie, żeby nie było żadnych nieporozumień. To zwykła umowa. Nadal jesteś zainteresowana?

A więc Zach nie pogodził się jeszcze ze stratą Cynthii. Rebecca przełknęła ślinę.

- Rozumiem. To zmienia sytuację - wyjąkała. Ale skoro Zach zdecydowany był znaleźć sobie żonę właśnie w taki sposób, postanowiła zrobić wszystko, co w jej mocy, by sprostać sytuacji. Spełniała wszystkie wymagania. No, prawie wszystkie. Była uczciwa, odpowiedzialna i na pewno będzie kochała jego dzieci. Ominęła w myślach słowo „uległa”. Zach chyba zwariował, stawiając ten warunek.

Czegoś takiego nie można wymagać od kobiety w dzisiejszych czasach. Ale miała jeszcze kilka pytań.

- A co z miłością?
- A co ma być?
- Czy nie chcesz, żeby twoja żona cię kochała?
- To nie jest konieczne. W gruncie rzeczy to by tylko przeszkadzało, bo ja nie mam zamiaru jej kochać.

Rebecca zawsze marzyła, że któregoś dnia Zach zakocha się w niej, wezmą ślub i będą żyli szczęśliwie aż do końca swoich dni. Tak się działo we wszystkich bajkach.

Zmarszczyła czoło z namysłem. Nie oferował wiele, pomyślała jednak, że na pewno nie oprze się jej miłości. Uśmiechnęła się promiennie.

- Jestem kobietą, jakiej szukasz - powiedziała. Zach roześmiał się głośno.

- Nic z tego, mała. - Usiadł okrakiem na kuchennym krześle, skrzyżował ramiona na oparciu i dodał:

- Nie spełniasz wszystkich warunków, jakie podałem w ogłoszeniu.

- Zach, przyszła jeszcze jedna kobieta w sprawie ogłoszenia - rozległ się dźwięczny głos z korytarza i w progu kuchni stanęła drobna, ciemnooka i ciemnowłosa brunetka. - Becky! - zawołała ze zdumieniem.

- Nie wiedziałam, że tu jesteś.

Rebecca obdarzyła młodszą siostrę Zacha promiennym

uśmiechem.

- Cześć, Callen. Świetnie wyglądasz. Słyszałam, że zostałam matką - powiedziała, przypominając sobie miejscowe plotki. Callen przyłożyła dłonie do płaskiego brzucha.

- Nie wiedziałam, że to już widać.

- Mówiłam o bliźniaczkach, Kayli i Karen - odrzekła Rebecca z zaskoczeniem.

- Sam i ja spodziewamy się następnego dziecka za sześć i pół miesiąca. Bliźniaczki mają dopiero dwa lata, więc była to niespodzianka, ale bardzo się cieszymy.

- Jak się czuje Sam?

- Nadal jest w szoku - zaśmiała się Callen. - Ale to przyjemny szok, bo chcemy mieć dużą rodzinę. Powiedz, co u ciebie słyhać.

Przyjechałaś tu na krótko, czy zamierzasz zostać?

Rebecca zerknęła na Zacha.

- To zależy. Trafiłam na ogłoszenie twojego brata i przyjechałam...

- Tylko nie to! - wykrzyknęła Callen z oburzeniem. - Muszę ci powiedzieć, że w ogóle nie podoba mi się ten pomysł. Mamie i tacie też. Mężczyzna powinien się żenić z miłości, a nie dlatego, że uznał, iż czas już mieć dziecko, więc potrzebny mu jest odpowiedni materiał biologiczny na matkę. Nie mogę uwierzyć, że zdecydowałaś się odpowiedzieć na to ogłoszenie. Kocham mojego brata, ale muszę przyznać, że na co dzień potrafi być nieznośny. A znając jego stosunek do kobiet, obawiam się, że będzie okropnym mężem.

- Myślę, że twój brat to dobry materiał na męża, pod warunkiem, że trafi mu się odpowiednia żona - odrzekła Rebecca, znów zerkając na Zacha. Czarne, gęste włosy opadły mu na brwi, a ciemne oczy lśniły nieprzeniknionym blaskiem w surowej twarzy. Miał wyraźnie zarysowane kości policzkowe, prosty nos i lekko wystający podbródek. Była to zniewalająca twarz i Rebecca z trudem oderwała od niej wzrok.

- Nie znasz mojego brata tak dobrze jak ja - prychnęła Callen. - To arogancki neandertalczyk, jaskiniowiec, który nie był związany z żadną kobietą od czasu, gdy Cynthia... - Callen urwała. Widocznie nawet po tylu latach nie wolno było poruszać tego tematu. - Nie mieści mi się w głowie, że jakakolwiek kobieta mogłaby chcieć się związać z Zachem na całe życie!

- Całe szczęście, że nie potrzebuję twoich referencji - odciął się Zach pobłażliwie.

- O Boże, zupełnie zapomniałam o tej kobiecie! Ona czeka w salonie. Zach, która to już z kolei, czternasta czy piętnasta?

- Chyba siedemnasta.

Rebecca była zdumiona, że aż tyle kobiet zdecydowało się odpowiedzieć na ogłoszenie i że Zach odrzucił je wszystkie, ale jednocześnie wstąpiła w nią nowa nadzieja. Widocznie nie był do końca przekonany do małżeństwa z zupełnie obcą osobą.

Zach podniósł się z krzesła.

- Obowiązki mnie wzywają.

- Czy mogę pójść z tobą? - zapytała Rebecca.

- Dlaczego by nie?

- Ja też idę - wtrąciła Callen. - Nie mogłabym stracić takiej rozrywki - szepnęła na boku do Rebeki.- Za chwilę sama zobaczysz, jakie kobiety odpowiadają na to ogłoszenie.

Rebecca nie była pewna, czego ma się spodziewać. Sądziła, że zobaczy prostą, biedną, niewykształconą kobietę, której nie udało się złapać męża w żaden inny sposób.

Ale kobieta, która siedziała na skórzanej kanapie, była doskonale piękna, pewna siebie, wyrafinowana i swobodna w każdym calu. Rebecca poczuła się nagle jak kopciuszek. Nic dziwnego, że Zach śmiał się z niej, gdy powiedziała, że chce zostać jego żoną. Była ładna, ale nie mogła się porównywać z tą pięknoscią. Usiadła na bujanym fotelu i czekała na początek przedstawienia.

- Dzień dobry - powiedziała nieznajoma niskim, zmysłowym głosem.

- Jestem Whitelaw - oznajmił Zach.

Na twarzy kobiety pojawił się drapieżny uśmiech. Wyciągnęła dłoń. Zach uściskał ją i usiadł na kanapie.

- Nazywam się Harriet Thomas - przedstawiła się, nie odrywając wzroku od Zacha.

Rebecca głośno odchrząknęła.

- Jestem Rebecca Littlewolf. Harriet zignorowała ją.

- Co chciałby pan o mnie wiedzieć? - zwróciła się do Zacha.

- Zach ma zamiar ożenić się ze mną - znów wtrąciła Rebecca.

Na twarzy Harriet pojawił się przebłysk irytacji.

- Nie wiedziałam, że ogłoszenie jest już nieaktualne.

- Jest aktualne - mruknął Zach. - Uspokój się, mała. Rebecca nie poczuła się speszona. Znała nastroje Zacha od dzieciństwa.

- Wie pani chyba o tym, że Zach chce mieć dużo dzieci? - zapytała.

Pięknie wydepilowane brwi Harriet uniosły się lekko. Zwróciła na swego rozmówcę pytające spojrzenie.

- To prawda - przyznał Zach.

- Ile?

- Co najmniej troje, może czworo.

- Rozumiem. - Harriet wydeła usta w sposób, który trudno było uznać za przyjemny, podniosła się i spojrzała wreszcie na Rebecę.

- Możesz go sobie wziąć - oznajmiła chłodno.

- Wyprowadzę panią - poderwała się Callen, mrugając do Rebeci.

- Sama trafię do wyjścia.

Gdy drzwi zamknęły się za nieznaną, Callen wykrzyknęła:

- Och, jakże żałuję, że nie mogę zostać dłużej! Ale jestem umówiona z lekarzem i jeśli zaraz nie wyjdę, to się spóźnię. Miło było cię znów zobaczyć, Becky - dodała, stojąc już na progu. - Życzę powodzenia w rozmowach z moim bratem!

Zach oparł dłonie na poręczach fotela, na którym siedziała Rebecca, i pochylił się lekko.

- To nie jest zabawa, mała - rzekł groźnie. - Potrzebuję żony i mam zamiar ją znaleźć.

- Już znalazłeś - odpowiedziała z wysiłkiem. - Siedzę tutaj. Zach

nagle wyprostował się i przesunął palcami po włosach.

- Nic by z tego nie wyszło.

Ta odpowiedź zaskoczyła Rebecę, oznaczała bowiem, że Zach mimo wszystko brał pod uwagę jej kandydaturę. Zerwała się z fotela, stanęła przed nim z rękami opartymi na biodrach i wojowniczo wysunęła podbródek.

- Dlaczego nie? Gdybyś się nad tym przez chwilę zastanowił, to musiałbyś przyznać, że znakomicie się nadaję. Wiem wszystko o pracy na ranchu, sam mnie tego nauczyłeś, i znam Sokole Wzgórze. Wiesz, że jestem uczciwa i odpowiedzialna. - Zarumieniła się i dodała: - I mogę ci przynieść od lekarza zaświadczenie, że jestem płodna. - Celowo nie wspomniała o uległości. Miała nadzieję, że Zach również o tym zapomni. Wzięła głęboki oddech i ciągnęła: - I wiem lepiej niż ktokolwiek inny, dlaczego nie możesz żadnej kobiecie ofiarować miłości.

Zach zacisnął zęby.

- Nie, mała. I to jest moje ostatnie słowo.

- Nie przyjmuję tego do wiadomości - powiedziała Rebecca, zastępując mu drogę do drzwi.

- Dlatego właśnie nie byłabyś dobrą żoną - skrzywił się. - Nie ma w tobie ani odrobiny uległości.

- W każdym razie wiesz, co dostajesz - nie ustępowała. - Znasz mnie, Zach. Lubisz mnie. Czy to nie jest dla ciebie ważne?

- Dlaczego chcesz za mnie wyjść? - zapytał nagle. - Masz przed sobą całe życie. Po co ci taki układ? Rebecca wiedziała, że jakkolwiek

wzmianka o miłości pogrzebałaby wszystkie jej nadzieje. Gorączkowo szukała jakiegoś wiarygodnego wyjaśnienia. I znalazła.

- Od kiedy zaczęłam pracować w szpitalu dziecięcym, marzyłam o zorganizowaniu letniego obozu dla dzieci chorych na raka. Sama nigdy nie mogłabym sobie na to pozwolić. Gdybym była twoją żoną, mogłabym spełnić swoje marzenia tutaj, na Sokolim Wzgórzu.

Zach skrzywił się.

- Rozumiem. A więc to moje pieniądze interesują cię najbardziej.

- No cóż, jesteś także dość przystojny - dodała, ale widząc wyraz jego twarzy, natychmiast zrozumiała, że popełniła błąd. - Ten obóz to naprawdę wspaniały pomysł - podjęła pośpiesznie, przepełniona coraz większym entuzjazmem. - To idealne miejsce na taką imprezę. Można by tu przywozić dzieci, które nigdy w życiu nie widziały konia. Moglibyśmy uczyć je jazdy konnej albo zabierać na przejażdżki na wozie z sianem. Byłyby zachwycone. Gdybyś wiedział, jak ciężko muszą walczyć o życie, nie wspominając już o wyzdrowieniu, zrozumiałbyś, jaką wspaniałą przygodą byłby dla nich tydzień spędzony na ranczu.

Zach przymrużył oczy i wsunął kciuki w tylne kieszenie spodni. Przez chwilę zastanawiał się nad tym, co usłyszał.

- Przypuszczam, że to ja miałbym finansować ten projekt.

Rebecca skinęła głową.

- A jak poradzisz sobie z czwórką dzieci, zajmując się jednocześnie obozem?

- Mogłabym znaleźć kogoś do pomocy.

- Do pomocy przy obozie... czy przy naszych dzieciach? - zapytał surowym tonem.

- Będę dobrą matką - odrzekła z powagą. - Sama straciłam matkę zaraz po urodzeniu, więc wiem, jak bardzo dziecko wymaga odpowiedniej opieki. Potrafię dać twoim... naszym dzieciom tyle miłości, ile tylko będą jej potrzebowały.

Zach potrząsnął głową.

- Sam nie wiem, Becky. Muszę przyznać, że podoba mi się ten pomysł z obozem. Mam bratanicę, Suzannę - to pasierbica mojego brata, Falcona - która jest chora na białaczkę. Wiem, że byłaby zachwycona, gdyby mogła pojechać na taki obóz. Ale to oznacza dużo pracy.

- Poradzę sobie z tym! - zawołała Rebecca, uradowana, że po raz pierwszy nie nazwał jej „małą”. - Dam sobie radę, naprawdę. Uwierz mi, jestem kobietą, jakiej szukasz. Przyznaj to wreszcie.

Zach popatrzył na nią podejrzliwie.

- Nie zapomniałem jeszcze, co powiedziałaś, gdy miałaś siedemnaście lat.

- Mam nadzieję, że nie użyjesz tego przeciwko mnie. - Rebecca ze wszystkich sił starała się nadać głosowi lekceważące brzmienie. - Podkochiwałam się w tobie, to prawda, ale to było tak dawno temu!

- Nie mogę zaprzeczyć, że mi się podobasz. Zapomniałem już, że masz takie piękne zielone oczy, zupełnie jak trawa na wiosnę. I wspaniałe włosy - mówił Zach, przesuwając między palcami jedwabiste pasma.

- Ty też mi się podobasz... - Położyła dłoń na jego piersi. Przez kowbojską koszulę czuła twarde mięśnie. Drugą dłonią otoczyła jego kark i wsunęła palce między włosy.

Wiedziała, co się zdarzy za chwilę, czekała na to, pragnęła tego. Chciał ją pocałować. Patrzył na nią ciemnymi, nieprzeniknionymi oczami, zbliżając twarz coraz bardziej do jej twarzy, aż opuściła powieki. Gdy dotknął ustami jej ust, poczuła na całym ciele gęsią skórę. Kolana zaczęły pod nią drżeć. Upadłaby, gdyby Zach nie otoczył jej ramieniem i nie podtrzymał, pogłębiając pocałunek.

Niespodziewanie poczuła, że stoi o własnych siłach. Zach był o półtora metra od niej. Spojrzała na niego oszołomiona.

- Myślę, że to o wszystkim rozstrzyga - powiedział.

- Co rozstrzyga?

- Będzie nam za dobrze w łóżku.

- Och!

- Sam nie wiem, mała - powtórzył Zach. - To zbyt niewiarygodne. Gdy zamieszczałem to ogłoszenie, nawet mi przez myśl nie przeszło, że odpowie na nie ktoś znajomy. Muszę się nad tym zastanowić.

Rebecca wiedziała, że jeśli zostawi mu czas do namysłu, to przyjdzie mu do głowy tuzin powodów, by się wycofać.

- Nie znajdziesz lepszej kandydatki ode mnie, Zach. Dostaniesz dokładnie to, czego chcesz. Wyjdę za ciebie, nie oczekując miłości, i dam ci dzieci. Nie musisz już tracić czasu na szukanie żony. A poza tym znasz mnie i twoja rodzina na pewno mnie zaaprobuje.

Wyraz twarzy Zacha wymownie świadczył o tym, że ostatni argument Rebeki był trafny. Sądząc z tego, co mówiła Callen, rodzice Zacha nie akceptowali jego metody szukania żony. Gdyby ożenił się z nią, nie musiałyby się martwić o ich reakcję.

- Nie zastanawiaj się zbyt długo, Zach. Za kilka dni muszę wrócić do Dallas.

- To może lepiej zdecyduję się od razu. Rebecca poczuła, jak mocno bije jej serce.

- Ale najpierw musimy ustalić kilka rzeczy.

- Jakich?

- Nie łudź się, że się w tobie zakocham. Nigdy nie pokocham innej kobiety. Nie po Cynthii.

Rebecca poczuła ucisk w żołądku.

- Dobrze. Co jeszcze?

- Żenię się, bo chcę mieć dzieci. Ale jestem mężczyzną i mam swoje potrzeby. Oczekuję, że moja żona je zaspokoi.

Na myśl o zaspokajaniu tych potrzeb Rebecca znów poczuła gęsią skórę na całym ciele.

- Zaspokoje je z przyjemnością, pod warunkiem, że będę jedyną kobietą, która ma się tym zajmować. Czy to już wszystko?

- Wymagam, byś przede wszystkim poświęciła się naszym dzieciom. W zamian za to ja sfinansuję obóz i wszystko, co będzie się wiązać z jego prowadzeniem.

- Zgoda.

- I jeszcze jedno. Jeśli w ciągu roku od daty ślubu nie zajdziesz

w ciąży, bierzemy rozwód. W końcu potrzebne mi są dzieci, a nie bezpłodna żona.

Westchnęła głęboko, zdumiona tym nieoczekiwanym warunkiem.

- To dosyć bezwzględne podejście.
- Skoro nie chcesz... - wzruszył ramionami.

Po raz pierwszy od czasu, gdy jako trzynastolatka zakochała się w Zachu, Rebecca zaczęła się zastanawiać, czy przypadkiem nie popełniła błędu w ocenie jego charakteru. Człowiek, którego kochała, nie mógłby być tak bezlitosny. A jeśli nie uda jej się sprawić, by ją pokochał? Jeśli naprawdę okaże się, że jest pozbawiony serca? Czy warto ryzykować?

- Jeśli się rozwiedziemy, to nadal będę prowadziła obozy tutaj, na twoim ranczu, a ty nadal będziesz je finansował. Chcę to mieć na piśmie.

- Nie zażadasz alimentów? Potrząsnęła głową.
- Powiedziałam ci, czego się spodziewam po tym małżeństwie.
- Czy zgadzasz się na te wszystkie warunki i nadal chcesz za mnie wyjść? - zapytał Zach.

- Chcę.

Odetchnął z ulgą. Rebecca dopiero w tej chwili uświadomiła sobie, że wcale nie był pewien jej zgody. Mimo wszystko wyglądał na zadowolonego.

- No to zawarliśmy układ.
- Kiedy weźmiemy ślub? - zapytała.
- Jutro. Może go udzielić sędzia Smithers.

- Nie.
- Znów mi się sprzeciwiasz. Co ja mam z tobą zrobić, mała?
- Mogę odejść ze szpitala dopiero w dwa tygodnie po złożeniu wypowiedzenia.
- Dobrze, daję ci dwa tygodnie i ani dnia dłużej. Rebecca wyciągnęła dłoń, Zach jednak objął ją i przyciągnął do siebie.
- Wolę przypieczętować nasz układ inaczej - rzekł i pocałował ją jeszcze raz.

ROZDZIAŁ DRUGI

Zach pragnął kobiety. Nie po raz pierwszy już wpatrywał się w sufit sypialni, usiłując zignorować palące potrzeby ciała. Ale dzisiaj obiekt jego pożądania miał twarz i nazwisko.

Rebecca Littlewolf.

Pomyślał, że nie jest złą rzeczą pragnąć fizycznie przyszłej żony. Zdumiony był jednak intensywnością tego pragnienia oraz tym, że nie potrafił wyrzucić z myśli obrazu jej twarzy. Widział przed sobą zielone oczy Rebeki rozświetlone namiętnością, czuł jedwabisty dotyk jej czarnych włosów.

Wstał z łóżka i poszedł do salonu. Z dużego okna roztaczał się widok na całą posiadłość. Świt był już bliski. Ciemne zarysy wielkich skał znaczyły wylot wielkiego kanionu leżącego na terenie jego rancza.

Widział wiatrak obracany przez teksański wiatr i pasące się na pastwiskach krowy.

Ojciec dał mu tę ziemię; na dwudzieste pierwsze urodziny. Obszar Sokolego Wzgórza wykrojono z posiadłości, która od pokoleń należała do rodziny Whitelawów. Zach z utęsknieniem wyczekiwał dnia, gdy się ożeni i stworzy rodzinę, która wypełni jego życie radością i szczęściem. A potem pojawiła się Cynthia Kenyon.

Cynthia była jego pierwszą miłością. Z głową nabitą romantycznymi opowieściami, jakie rodzice snuli w długie zimowe wieczory przy kominku, Zach zakochał się po uszy. Zaraz po zaręczynach Cynthia przeprowadziła się do niego. Na dwa dni przed planowanym ślubem znalazł ją w łóżku z innym mężczyzną.

Jedno uderzenie pozbawiło rywala przytomności; Zach musiał się powstrzymać ze wszystkich sił, by nie uderzyć także i jej. Powoli cofnął się i wsunął kciuki w tylne kieszenie dżinsów.

- Wynoś się stąd, Cynthia, i zabierz ze sobą te zwłoki z podłogi.
- Zach, to nie jest nic ważnego. On pracuje w agencji modelek w Nowym Jorku. Chce mi zaproponować kontrakt. To nie ma nic wspólnego z nami - tłumaczyła z lękiem.

- Dla mnie to znaczy bardzo wiele - odrzekł, wstrząśnięty. - Wynoś się stąd, Cynthia, i więcej nie pokazuj mi się na oczy.

- Nie rób tego, Zach - błagała. Po jej policzkach spłynęły wielkie łzy. - Kocham cię. Popęłniłam błąd. Proszę, przebac mi.
- Są rzeczy, których nie da się przebaczyć.
- Zach, jestem w ciąży.

- Z kim?

Wiedział, że nigdy nie zapomni wyrazu jej twarzy, jednocześnie zmieszanej i przestraszonej.

- Z tobą. Nie uwierzył jej. Który mężczyzna zrobiłby to w takich okolicznościach? Na pewno nie była w ciąży, a jeśli nawet, nie było to jego dziecko. Czuł się jak idiota. Ufał jej, a ona go zdradziła. Nigdy nie będzie w stanie zapomnieć widoku jej ciała splecionego z ciałem innego mężczyzny w jego łóżku. Zbierało mu się na mdłości.

- Wynoś się stąd, Cynthia. I nigdy nie wracaj.

- Dobrze, Zach, wyniosę się, ale kiedyś tego pożałujesz. Noszę twoje dziecko. Udowodnię ci to. Kiedyś za to zapłacisz. Zobaczysz, jak mi za to zapłacisz!

Cynthia i jej kochanek wsiedli na pokład samolotu odlatującego do Nowego Jorku. Samolot rozbił się wkrótce po starcie. Wszyscy pasażerowie zginęli.

Zach zapytał koronera, czy Cynthia była w ciąży.

- Niestety tak, synu - usłyszał. - Ogromnie mi przykro.

Zach czuł się winny śmierci Cynthii. Z przerażeniem myślał o tym, że dziecko - jego dziecko? - zginęło wraz z nią. Testy sprawdzające ojcostwo nie wchodziły w rachubę. Musiałby się przyznać do swoich wątpliwości. Opłakiwał więc śmierć tego dziecka, nigdy jednak nie przestał się zastanawiać, czy Cynthia nie wystrychnęła go na dudka, sprawiając, że nosił w sercu żalobę po dziecku jakiegoś innego mężczyzny.

Najgorszy był widok łez w oczach matki i rozpacz na twarzy

ojca, gdy usłyszeli o swym nie narodzonym wnuku. Zach był zbyt zraniony i upokorzony, by im powiedzieć, że być może nie było to jego dziecko. A może było? Do końca życia nie pozbędzie się niepewności. Nikt oprócz niego nie wiedział o perfidii Cynthii i Zach uznał, że nie ma żadnego powodu, by wyznawać komukolwiek prawdę. Zamknął się w sobie i pozwolił, by ludzie wyciągali własne wnioski.

W ciągu lat, które minęły od śmierci Cynthii, spotykał się z wieloma kobietami, nie chciał jednak wiązać się z żadną z nich. Były niestałe i głupie, nieuczciwe i kusicielskie. Nie potrafił pozbyć się niechęci i pogardy do nich wszystkich, ale jednocześnie nie mógł negocjować własnych fizycznych potrzeb.

Zastanawiał się, dlaczego w takim razie zdecydował się poślubić Rebecę, która była miłym, dobrym dzieckiem. Westchnął ciężko. Co go opętało? Wolał myśleć, że to tylko kwestia wygody. Na ogłoszenie odpowiedziało wiele kobiet i Zach zorientował się już, że nie znajdzie wśród nich dokładnie takiej kobiety, jakiej potrzebował. Nie miał jednak ochoty na konwencjonalne zaloty, gdyż wówczas należałoby okazać wybrance trochę uczucia. On zaś nie miał zamiaru nikogo kochać i sam nie oczekiwał miłości.

A Rebecca była kimś znajomym. Zdziwił go pomysł zorganizowania obozu, ale czuł się lepiej ze świadomością, że ona także ma swoje powody, by za niego wyjść. Z łatwością mógł jej zaoferować pieniądze. Miłość nie wchodziła w rachubę. Na szczęście Rebecca, podobnie jak wszyscy inni, sądziła, że Zach nadal kocha Cynthię Kenyon.

Dodatkowym plusem tej sytuacji było to, że Rebecca pociągała go fizycznie. Była niewysoka – sięgała mu zaledwie do ramienia - i miała pięknie ukształtowane ciało.

Poznał Rebecę, gdy miała trzynaście lat. Już wtedy nosiła serce na dłoni. Zawsze przejmowała się losem wszystkich zranionych, okaleczonych i cierpiących istot. Teraz przekonał się, że nie przeszło jej to z wiekiem. Niecierpliwie przesunął palcami po włosach. Był zdecydowany nie popełnić tego samego błędu po raz drugi i nie oddać serca żadnej kobiecie. Nade wszystko pragnął mieć dzieci. Gdy skończył trzydzieści sześć lat, uświadomił sobie, że czas ucieka. Wówczas to postanowił zamieścić ogłoszenie w gazecie, by móc się przyjrzeć jak największej liczbie kandydatek. Chciał mieć żonę, którą mógłby podziwiać i szanować, która byłaby dobrą matką. Fizyczne pożądanie było już tylko dodatkową premią. Rebecca Littlewolf spełniała wszystkie jego wymagania.

Usłyszał pukanie do kuchennych drzwi. Wskoczył do sypialni, pośpiesznie wciągnął dżinsy i ruszył do kuchni.

- Cześć, Zach.

- Wejdz, mała.

Rebecca zatrzymała się na progu.

- Źle spałam - powiedziała. - Chyba musimy poważnie porozmawiać.

- Mhm. - Zach pokrył niepokój uśmiechem i wprowadził ją w głąb kuchni. Rebecca zatrzymała się przy zlewie. - Co chcesz mi powiedzieć? - zapytał, stając naprzeciwko niej.

Nerwowo obracała w palcach kosmyk włosów.

- Zastanawiam się, Zach...

Zach poczuł nagle ucisk w żołądku. Dopóki nie zdecydował się na Rebecę, było mu wszystko jedno, z kim się ożeni. Teraz jednak nie potrafił sobie wyobrazić żadnej innej kobiety w roli swojej żony.

- Zawarliśmy umowę, mała. Ja już się zdecydowałem.

- To nie jest takie proste.

- Dlaczego?

- Z powodu Cynthii.

Nie był pewien, co Rebecca ma na myśli.

- A co Cynthia ma z tym wspólnego?

- Zastanawiałam się, czy już do końca życia, za każdym razem, kiedy na mnie spojrzysz, będziesz ją widział.

- Zupełnie nie jesteś do niej podobna - prychnął. Rebecca oblała się rumieńcem. Uświadomił sobie, że źle go zrozumiała.

- Wiem, że nie jestem tak piękna jak Cynthia, ale...

- Wygląd nie ma żadnego wpływu na moją decyzję - przerwał jej. - Posłuchaj, mała...

- Zach, ja już od dawna nie jestem dzieckiem.

Odgarnęła włosy z twarzy. Pod bawełnianą koszulką wyraźnie zarysowały się okrągłe piersi. Zach musiał przyznać jej rację. Przed nim stała dorosła kobieta, równie mu obca, jak wszystkie inne kandydatki. Wolał jednak nazywać ją „małą”. Pozwalało mu to zmniejszyć dystans między nimi.

- Dobrze, mała, posłucham, co masz mi do powiedzenia. Do

jakich wniosków doszłaś podczas bezsennej nocy?

Rebecca westchnęła głęboko.

- Myślałam, że może byłoby lepiej, gdybyśmy nie brali ślubu.
- Zawarliśmy już umowę.
- Nie chcę zrywać umowy, tylko trochę ją zmienić.
- A co chcesz w niej zmienić?
- Możemy zamieszkać razem bez ślubu.
- A w jakim celu?
- Mogłoby to zaoszczędzić nam obojgu nieprzyjemnego

rozvodu.

- Czy masz jakieś powody, by uważać, że nie zajdziesz w ciążę?

Rebecca potrząsnęła głową.

- Ale nie mam żadnej pewności, że zajdę.
- Ja jestem gotów zaryzykować.
- A ja nie.

Zach skrzywił się. Samowolna nastolatka, którą znał, wyrosła na samowolną kobietę. Przyjrzał się jej i zrobił krok w jej stronę.

Ostrzegawczo wyciągnęła rękę.

- Nie - szepnęła.

Podszedł bliżej, tak blisko, że jej dłoń oparła się na jego piersi.

Rebecca podniosła na niego wzrok. W jej oczach zobaczył pragnienie.

Zaklął w duchu. Rebecca nigdy nie potrafiła ukrywać uczuć, on zaś widział już taki wyraz na twarzach innych kobiet i wiedział, że oznacza on zupełne poddanie.

- Nie patrz tak na mnie, mała - ostrzegł ją ochrypłym głosem -

chyba że rzeczywiście wiesz, co robisz.

Zamrugła powiekami jak przebudzona ze snu. Szybko cofnęła rękę i wsunęła ją za plecy.

- Przepraszam, Zach. Nie chciałam... Roześmiał się i przyciągnął ją do siebie.

- Co ja mam z tobą zrobić?

- Dlaczego nie chcesz, żebyśmy po prostu razem zamieszkali?

Obiecuję, że jeśli zajdę w ciążę, wyjdę za ciebie.

- To nie wystarczy - potrząsnął głową.

Nie miał odwagi jej zaufać. A jeśli po Zająciu w ciążę nie zechce za niego wyjść? Jeśli się z nią ożeni, przynajmniej będzie miał legalne prawo do dziecka. Ale nie miał zamiaru przyznawać się do tych obaw.

- Musisz za mnie wyjść, mała. Nie chcę, żeby moje dziecko urodziło się jako nieślubne albo żeby kiedyś zaczęło liczyć, ile miesięcy upłynęło między naszym ślubem a jego przyjściem na świat.

- A czy nie boisz się, że nasze dziecko zacznie zadawać kłopotliwe pytania, gdy zacznie zauważać, jakiego rodzaju stosunki panują między nami?

- Będziemy ze sobą sypiać i uprzejmie się do siebie odnosić przy śniadaniu. Nie wszystkie małżeństwa mogą się tym pochwalić.

Rebecca zmarszczyła brwi.

- Nie rozumiem cię, Zach.

- Nie musisz mnie rozumieć. To nie należy do twoich obowiązków. Masz po prostu dotrzymać swojej części umowy.

Odwróciła się do niego plecami i spojrzała w okno.

- Sama nie wiem...

Podszedł do niej i objął ją ramionami. Zesztywniała, ale po chwili rozluźniła się i przytuliła do niego. Usłyszał jej ciche westchnienie. Pochylił głowę i dotknął ustami miejsca za jej uchem. Powoli rozsunął zamek błyskawiczny dzinsów. Rozchyliła nogi, wyginając ciało w łuk.

- Zach. Przeszył go dreszcz.

- Bardzo cię pragnę. - Słowa z trudem wydostały się z jej gardła.

- Wyjdź za mnie - wymruczał jej do ucha. - Wyjdź za mnie i daj mi dziecko.

- Och, Zach, to nie jest uczciwa gra.

Poczuł jej dłoń na swoim udzie i zaczął oddychać szybciej. Ona także nie grała uczciwie.

- Żadnego ślubu, Zach. Dopiero wtedy, gdy zajdę w ciążę.

Oderwał się od niej gwałtownie, pochwycił ją za ramiona i obrócił twarzą do siebie. W jego oczach błysnął gniew.

- Nie szantażuj mnie w ten sposób. Mam swoje powody, żeby nalegać na małżeństwo. Nie zgodzę się na żaden kompromis i nie zmienię zdania. Takie są moje warunki. Możesz się na nie zgodzić albo nie.

Przez chwilę obawiał się, że odmówi. Wpatrywała się w podłogę, przesuwając czubkiem buta po kamiennych płytkach.

- Dobrze, Zach - powiedziała w końcu. - Ale myślę, że popełniamy błąd. Ja nawet większy niż ty - dodała, krzywiąc się. - Wyjdę za ciebie.

- Za dwa tygodnie?
- Za dwa tygodnie.
- Porozumiem się z moim prawnikiem i przygotuję papiery gwarantujące finansowanie obozu. Możemy je podpisać przed ślubem.
- Najpierw twój prawnik musi się porozumieć z moim.

Zach przyjrzał się uważnie jej twarzy. Dziecko, które pamiętał, bez zastrzeżeń uwierzyłoby mu na słowo. Nie, nie była już dzieckiem, choć nadal wolał tak o niej myśleć.

- Dobrze - rzekł. - Coś jeszcze?
- O której mam być w sądzie?
- Spotkajmy się w biurze mojego prawnika o trzeciej. - Podał jej adres. - Możemy stamtąd pójść do sądu.

Uśmiechnęła się ze smutkiem,

- Mam nadzieję, że za rok żadne z nas nie będzie żałować podpisania tego kontraktu.

- Jeśli masz jakieś wątpliwości, to możesz się jeszcze wycofać.

Natychmiast jednak pożałował swoich słów. Teraz już nie zadowoliliby go żadna inna kobieta. Chciał Rebeki.

- Do widzenia, Zach. - Minęła go bez jednego spojrzenia, dumnie wyprostowana. Nie miał pojęcia, czy ma to być pożegnanie na kilka dni, czy do końca życia. Otworzył usta, ale natychmiast znów je zaniknął. Wolałby paść trupem niż wyznać jej, jak bardzo zależy mu na tym małżeństwie.

ROZDZIAŁ TRZECI

- Cześć, mała. Nie śpisz już?
- Teraz już nie - wymamrotała Rebecca na wpół przytomnie i spojrzała na budzik stojący przy hotelowym łóżku. - Zach, jest piąta rano!
- Czas wstawać, śpiochu.
- Do widzenia, Zach.
- Poczekaj, mała - zaśmiał się. - Chciałem ci powiedzieć, że możesz dzisiaj rano przywieźć tu swoje rzeczy. Ja mam trochę pracy, więc będziesz miała cały dom dla siebie. Jesteś tam?
- Jestem, Zach. To chyba dobry pomysł.
- Jeśli potrzebujesz pomocy, to mogę przyjechać.
- Skoro udało mi się samej wszystko załadować do samochodu, to chyba dam sobie radę i z rozładowaniem.
- W takim razie do zobaczenia po południu. Rebecca odłożyła słuchawkę i przeciągnęła się z westchnieniem. Nadszedł dzień jej ślubu.

Nadal nie była do końca przekonana, czy postępuje słusznie. Natomiast pani Fortunata wpadła w euforię.

- A widzisz? Co ci mówiłam? - powtarzała, ocierając oczy chusteczką. - Nie mogę uwierzyć, że proponujesz mi pracę na obozie! Nie będę już musiała myć podłóg! Ależ mam szczęście!

Uszczęśliwienie staruszki sprawiało Rebecce przyjemność,

skrzywiła się jednak na myśl, że Zach nic jeszcze o tym nie wie. Nie konsultując się z nim, obiecała pani Fortunacie pracę na obozie, a także stanowisko kucharki w czasie, gdy na ranczu nie będzie dzieci. Pani Fortunata miała zamieszkać na stałe w budynku przeznaczonym dla dziewczynek.

Musiała jej to wszystko obiecać, inaczej bowiem Staruszka nie mogłaby porzucić pracy w szpitalu. A Rebecca w głębi ducha powzięła postanowienie, że od tej chwili pani Fortunata nigdy już nie będzie myć podłóg.

Prawdę mówiąc, nawet nie sprawdziła, czy poczciwa Włoszka umie gotować. Wydawało się to jednak oczywiste, skoro wychowała tak liczną gromadkę dzieci i wnuków. I chociaż pani Fortunata nigdy jeszcze nie pracowała na stanowisku opiekunki grupy dzieci, Rebecca była pewna, że świetnie sobie ze wszystkim poradzi.

Przygryzła wargę. W odpowiedniej chwili będzie musiała powiedzieć o tym wszystkim Zachowi.

Przejechała pod bramą z kutego żelaza, na której widniała nazwa „Sokole Wzgórze”. Po chwili w polu widzenia pojawił się biały dom w stylu kolonialnym, który wkrótce miał się stać także jej domem. Przy ścianach w regularnych odstępach znajdowały się drewniane przypory podpierające płaski dach. Rebecca zatrzymała wynajętą półciężarówkę przy drzwiach kuchennych, nie weszła jednak od razu do środka, tylko okrążyła dom i kamienną ścieżką dotarła na wewnętrzne podwórze.

Dom miał kształt kwadratu. Zbudowany był dokoła wielkiego, omszałego ze starości dębu, który dawał przyjemny cień. Obok

przesuwanych przeszklonych drzwi prowadzących do sypialni Zacha znajdowała się altana z ażurowych listewek, po których pięły się pędy wistarii. W altanie stała dwuosobowa drewniana huśtawka. Całe podwórko porośnięte było trawą i kwiatami. Rebecca zastanawiała się, czy Zach kochał się tu kiedyś z Cynthią.

Z trudem odpędziła od siebie te myśli. Zbyt łatwo byłoby dać się ponieść zazdrości o nieżyjącą kobietę. Obawiała się pamiątek po Cynthii, jakie mogły znajdować się w tym domu.

Wsunęła się do sypialni Zacha. Żaluzje były zasunięte i w środku panował przyjemny chłód. Zach zatrudniał dochodzącą pomoc domową, toteż na drewnianej podłodze nie było ani odrobiny kurzu, ale przez poręcz fotela na biegunach przerzucona była kowbojska koszula, a na podłodze obok nie zaścielonego łóżka leżało kilka pism ranczerskich. Rebecca zauważyła wyciśnięty na poduszce ślad głowy. Sądząc po pomiętych prześcieradłach, Zach sypiał niespokojnie. Rebecca poczuła nagły impuls, by pozbierać pisma i posłać łóżko. Uśmiechnęła się do siebie z rozbawieniem i naraz zauważyła stojącą na komodzie na wprost łóżka fotografię Cynthii. Pomyślała, że wypędzenie stąd ducha Cynthii Kenyon będzie pierwszą i najważniejszą rzeczą, jaką zajmie się po ślubie.

- Halo? Jesteś tam, mała?

Głos Zacha dochodził z kuchni. Rebecca zastygła. Wybiegła z sypialni i omal nie zderzyła się z nim w korytarzu.

- O, jesteś - uśmiechnął się.

Zaśmiała się nerwowo, odsuwając się nieco.

- Myślałam, że będziesz zajęty.
- Zrobiłem sobie przerwę w pracy. Pomyślałem, że może przyda ci się pomoc przy przenoszeniu cięższych rzeczy.

Rebecce zaskoczyło to, co zobaczyła. Widać było, że Zach przed chwilą oderwał się od ciężkiej pracy. Z tylnej kieszeni brudnych, podartych na kolanach dżinsów wystawały zniszczone skórzane rękawice. Kraciasta kowbojska koszula była rozpięta na piersiach. Na jego skórze lśniły kropelki potu. Kapelusz miał pomięty, a włosy na karku wilgotne.

Pragnęła go dotknąć,, położyć dłonie na śliskiej skórze, smakować słony pot, zsunąć kapelusz z jego głowy i poczuć chłód wilgotnych włosów. Ogarnęło ją silne, czysto fizyczne pożądanie.

- Zach.
- Nie patrz tak na mnie, mała. Nie teraz. Jeszcze nie. Zbliżyła się o krok, ale w tej chwili przypomniała sobie o stojącej na komodzie fotografii. Cynthia jednak nie żyła. Zach należał teraz do niej, ona zaś pragnęła go dotknąć. Wyraz jego oczu wymownie świadczył o tym, że on także tego pragnie. Podeszła jeszcze bliżej. Ich ciała niemal się zetknęły. Poczula męski zapach. Uniosła twarz do góry i czekała z przymkniętymi oczami, drżąc z niecierpliwości. Wreszcie jego usta z niewypowiedzianą delikatnością dotknęły jej warg. Wstrzymała oddech. Usta Zacha cofnęły się na chwilę, po czym Rebecca znów poczuła ich dotyk. Objął ją mocno i przyciągnął do siebie. Jej piersi oparły się o jego tors. Pochwyciła go za szyję i wygięła ciało w łuk, preżąc się pod jego dłońmi.

- Chcę cię dotykać - powiedział ochryple. Ściągnął z niej koszulkę i westchnął z satysfakcją, patrząc na nagie piersi. Rebecca zwalczyła rumieniec zażenowania. Skrzyżowała ramiona na piersiach, walcząc z paniką. Co ona robi? To idiotyczne. Za kilka godzin ma zostać żoną tego człowieka.

- Poczekaj, Zach. Ja... my... - wyjąkała, głośno przełykając ślinę.

- Wszystko w porządku, mała. To tylko ja. Podniosła głowę i spojrzała w jego ciemne oczy.

Szczęki miał mocno zaciśnięte, ale oprócz pożądania coś jeszcze malowało się na tej twarzy. Zrozumienie?

- Chyba jestem głupia - przyznała, spuszczać głowę i usiłując się roześmiać. Stała przed nim tylko w dżinsach i wysokich butach, drżąc na całym ciele i walcząc z chęcią ucieczki. Dłonie Zacha powoli powędrowały do jej piersi. Wstrzymała oddech.

- Niewiarygodne - wymruczał. - Takie piękne. Pochylił głowę i przywarł do nich ustami. Rebecca miała wrażenie, że za chwilę zasłabnie i zemdleje. Pochwyciła go za ramiona, żeby nie upaść.

- Proszę... - szepnęła, sama nie wiedząc, czego chce.

Podniósł głowę. W jego oczach malowało się pożądanie, które jednocześnie przestraszyło ją i nappełniło euforią.

- Co takiego, mała?

Położyła dłonie na jego ramionach.

- Poczekaj, Zach.

Nigdy jeszcze nie była w takiej sytuacji z mężczyzną.

- Pragnę cię - wykrztusiła.

Z gardła Zacha wydobył się zwierzęcy pomruk. Położył ją na dywaniku pokrywającym podłogę, rozsunął zamek błyskawiczny dżinsów i jednym ruchem ściągnął z jej bioder wszystko, włącznie z bielizną, po czym sam zdjął spodnie. Rozsunął jej kolana i zagłębił się w jej ciało.

- Zaczekaj...

Ale było już za późno. Nie zdawała sobie sprawy, że wszystko stanie się tak szybko. Nie doceniła siły jego pragnienia. Sądził, że jest doświadczoną kobietą, toteż nie bawił się w ceregiele.

Rebecca krzyknęła głośno, gdy odebrał jej dziewictwo. Zach zastygł. Uniósł się na łokciach, ale pozostał w jej ciele.

- Niemożliwe - wymamrotał ze zdumieniem. - Myślałem... Masz już dwadzieścia trzy lata!

- Czy moglibyśmy o tym porozmawiać przy innej okazji? - szepnęła, unosząc wyżej biodra. Zach jęknął.

- Dobrze, mała. Porozmawiamy o tym później. Zauważyła, że od tej chwili starał się kontrolować swoje ruchy. Poruszał się powoli i delikatnie, pieścąc ją dłońmi i ustami.

- Masz taką aksamitną skórę - mruczał, przesuwał ustami po jej szyi. - A twoje włosy... Mam ochotę owinać się w nie cały i zapomnieć o wszystkim. Myślę, że...

Rebecca wołała jednak, żeby Zach nie myślał teraz o niczym, bowiem myśli zbyt łatwo mogłyby go poprowadzić w niepożądanym kierunku. Zaczęła go dotykać, na początku nieśmiało, potem coraz odważniej. Wsunęła palce między kędzierzawe włosy na jego piersi,

wyczuwając pod skórą twarde mięśnie. Ściągnęła niżej spodnie z jego bioder i usłyszała chrapliwy jęk. Zaspokoila ciekawość, pieszcząc jego biodra i uda.

Gdy dotknęła najwrażliwszego miejsca, Zach gwałtownie jęknął i przytrzymał jej rękę.

- Jeśli mnie tam dotkniesz, nie odpowiadam za skutki - wymamrotał.

Rebecca uśmiechnęła się szeroko i właśnie tam go dotknęła.

Zach gwałtownie przywarł ustami do jej ust, wsunął dłoń między ich ciała i odnalazł najwrażliwsze miejsce dziewczyny. Rebecca zeszywniała, wyginając się w łuk.

- Nie broń się przed tym - wymruczał prosto do jej ucha.

Z trudem łapała oddech. Zbyt wiele rzeczy działo się jednocześnie. Traciła nad sobą kontrolę. Wrażenia były tak intensywne. W rytm ruchów Zacha zmierzała w nieznane, przyciskając biodra coraz mocniej do jego ciała. Z jej otwartych ust wydobywały się dziwne dźwięki. Wsunęła obie dłonie między jego nogi i obydwójce wykrzyknęli w tej samej chwili. Jej ciało także napięło się i zeszywniało. Po chwili Zach opadł na nią całym ciężarem. Rebecca oparła głowę na jego ramieniu i ciężko dyszała.

- Jestem za ciężki - powiedział nagle Zach i przesunął się nieco. Leżeli teraz obok siebie na dywaniku. Rebecca jeszcze do końca nie ochłonęła, gdy głos Zacha przywołał ją do rzeczywistości.

- Chyba powinniśmy porozmawiać, mała.

- O czym?

- Na początek chciałbym się dowiedzieć, dlaczego aż do tej pory zachowałeś dziewictwo, a potem nie mogłeś poczekać jeszcze kilku godzin, aż weźmiemy ślub.

Rebecca nie chciała się przyznać do zazdrości o nieżyjącą kobietę. W milczeniu bawiła się włosami porastającymi pierś Zacha. On jednak ujął ją za brodę i zmusił, by spojrzała mu w oczy.

- Chciałbym usłyszeć jakieś wyjaśnienie.
- W sypialni stoi zdjęcie Cynthii - szepnęła. Zach zeszywniał.
- A ty chciałeś z nią rywalizować? Zerknęła na niego spod opuszczonych rzęs.

- Coś w tym rodzaju. Udało mi się?
- Cynthia nie żyje. Nie może ci już zagrozić.
- W takim razie nie będziesz chyba miał nic przeciwko temu, jeśli schowam to zdjęcie? - odparowała.

- To nie zrobi mi żadnej różnicy.

Serce Rebeki ścisnęło się na myśl, że obraz Cynthii na zawsze już pozostanie w pamięci Zacha. Pomyślała, że w takim razie lepiej będzie zostawić fotografię na swoim miejscu aż do chwili, gdy on sam dojrzeje do tego, by ją schować wraz ze swymi wspomnieniami o pierwszej - czy jedynej? - miłości.

- Jak chcesz, to je stamtąd zabierz - powiedział.
- Ty to zrobisz. Wtedy, gdy będziesz gotów. Wbrew nadziejom Rebeki Zach nie pobiegł natychmiast do sypialni, tylko zaproponował:

- Może weźmiemy prysznic?
- Razem? - zapytała, jednocześnie zaskoczona i zaintrygowana.

- Pewnie. Dlaczego nie? - uśmiechnął się i pociągnął ją za sobą.
Rozebrali się do końca i nadzy poszli do łazienki. Rebecca nie przestawała zerkać na Zacha. Podziwiała jego szczupłe ciało i płaski brzuch. Zauważyła, że był podniecony, i zastanawiała się z niedowierzaniem, jakim cudem mógł się w niej zmieścić.

Zach napotkał jej spojrzenie i zareagował szerokim uśmiechem.

- Jeśli coś ci się we mnie podoba, możesz to podziwiać bez ograniczeń.

- Wszystko mi się podoba - przyznała, lekko zażenowana.

Ze śmiechem przyciągnął ją do siebie i pocałował w szyję.

- Widzę, że nie dasz mi odpocząć, mała. Poczekaj tylko, aż weźmiemy prysznic.

Spuściła skromnie oczy i pozwoliła, by Zach umył jej włosy. Zabawa niespostrzeżenie przerodziła się w pieszczotę. Rebecca na szczęście była nieduża i lekka. Zach podniósł ją, oplótł jej nogi dokoła swych bioder i z łatwością podtrzymał, kochając się z nią.

Wzięli prysznic raz jeszcze, po czym Zach zawinął ją w ręcznik i zaniósł do sypialni. Położył się obok niej na łóżku i obydwójce usnęli.

Po jakimś czasie Rebecca otworzyła oczy. Było jej ciepło i czuła się bezpiecznie. Otaczały ją ramiona Zacha. Naraz poczuła, że ktoś jeszcze jest w pokoju. Zadrżała, a serce zaczęło głośno dudnić w jej piersi.

Osloniła się prześcieradłem i usiadła. Zach poruszył się niespokojnie i otworzył oczy.

- Co się dzieje?

- Ktoś tu jest.

Rozejrzał się po pokoju, po czym wstał i podszedł do drzwi. Wyrzwał na korytarz, poszedł do łazienki, a potem zajrzał do wbudowanej w ścianę szafy. Wrócił i stanął przed łóżkiem z rękami opartymi na biodrach.

- Nikogo tu nie ma oprócz nas, mała.

- Ktoś jest! Czuję to!- Mam sprawdzić pod łóżkiem, czy nie czai się tam jakiś zielonooki potwór?

Rebecca zarumieniła się.

- Nie wymyśliłam sobie tego, Zach. Ktoś tu był. - Naraz jej wzrok natrafił na zdjęcie Cynthii stojące na komodzie. Zastygła.

Zach powiódł wzrokiem w ślad za jej spojrzeniem. Podszedł do komody, oparł się na niej łokciami i ukrył twarz w dłoniach.

- Nie wierzę w duchy.

- Ja też nie - wymamrotała Rebecca niepewnie. Owinęła się w prześcieradło i wyskoczyła z łóżka. Zach podniósł głowę i spojrzał na nią.

- Nie musisz się owijać prześcieradłem. Nikogo tu nie ma oprócz mnie.

Rebecca poczuła, że się rumieni. Nie było sensu chować się przed nim. Widział ją już nagą, a za kilka godzin miał zostać jej mężem. On sam najwyraźniej zupełnie nie wstydził się swego ciała. Mimo wszystko mocno zacisnęła dłonie na prześcieradle.

- Zazwyczaj nie chodzę po domu nago - wyjaśniła z przymusem.

Zach pociągnął za skraj tkaniny.

- Chcę na ciebie patrzeć.
- Nie teraz - szepnęła.
- Dlaczego?

Znów spojrzała na fotografię. Kobieta ze zdjęcia odpowiedziała jej spojrzeniem. Zach wyciągnął rękę i obrócił fotografię przodem do ściany.

- Teraz lepiej? Poczula się lepiej.

Usiadł na brzegu łóżka i posadził ją sobie na kolanach.

- Cynthia jest częścią mojej przeszłości. W niczym ci już nie może zagrozić.

- Nadal ją kochasz - szepnęła Rebecca.
- Ona nie żyje.

To jednak niczego nie zmieniło. Rebecca wiedziała, że nie ma sensu się sprzeczać, ale nie chciała także ulec.

- Zach...

On jednak przyciągnął ją do siebie i zamknął usta pocałunkami.

Gdy umilkła, powiedział:

- Chodź, mała. Trzeba się przygotować. Nie wypada się spóźnić na własny ślub.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Na schodach przed budynkiem sądu czekała na nich cała rodzina Zacha - rodzice, rodzeństwo, ich rodziny i dzieci. Rebecca poczuła ucisk w żołądku..

- Nie wiedziałam, że cała twoja rodzina przyjdzie na nasz ślub.
- Nie udało mi się ich przekonać, żeby zostali w domu. Mama i tato nie byli na ślubie Falcona ani Callen. Jestem ostatni z naszej trójki, więc nie mogli przegapić takiej okazji.

- Witaj, Rebecco - uśmiechnęła się pani Whitelaw. - Miło mi znów cię widzieć.

- Cieszę się, że mój syn wykazał odrobinę rozsądku - dodał ojciec Zacha, całując Rebecę w policzek.

Rebecca wpadła w objęcia Whitelawów. Było to całkiem przyjemne. Od śmierci ojca tęskniła za posiadaniem rodziny. I oto otrzymywała ciepło i wsparcie, jakich daremnie szukała przez wszystkie lata, odkąd wyjechała z Sokolego Wzgórza. Wsunęła rękę pod ramię Zacha, myśląc, że człowiek, który wychował się w tak pełnym miłości domu, nie może być zupełnie pozbawiony serca.

Wstąpiła w nią nowa nadzieja. Po ostatnim poranku miała powody liczyć na to, że uda jej się zająć w ciążę. Może nawet już się udało.

Teraz, gdy zobaczyła, jak ważne było to małżeństwo dla rodziny Zacha, cieszyła się, że namówiła go, by ubrał się odświętnie. Miał na

sobie czarny garnitur, białą koszulę z teksańskim krawatem i czarne buty. Ona sama ubrana była w indiańską sukienkę z białej jeleniej skóry, obrzeżoną frędzlami przy rękawach i dekolcie i wyszywaną koralikami. Do tego nałożyła miękkie, sięgające kolan mokasyny, a na głowie miała wyszywaną koralikami przepaskę. Ten strój przechodził w jej rodzinie z rąk do rąk. Matka i babka Rebeki także miały go na sobie w dniu ślubu.

Zach otoczył ją ramieniem i cała rodzina weszła do budynku.

- Możemy już zaczynać.

Sędzia Smithers przystąpił do ceremonii. Zach ze zdziwieniem poczuł, że coś go ściska w gardle. Nie spodziewał się, że ten ślub zrobi na nim jakiegokolwiek wrażenie. To przecież nie miało być prawdziwe małżeństwo, tylko zwykły kontrakt. Teraz dopiero zrozumiał, dlaczego myśl o zgromadzeniu rodzinnym tak bardzo zaniepokoiła Rebecce.

Stojąca po jego lewej stronie matka płakała cicho. Pan Whitelaw opiekuńczo otoczył ją ramieniem. Callen usiłowała uspokoić bliźniaczki, które kłóciły się o lalkę. Brat Zacha, Falcon, stał między swoją żoną, Marą, a pasierbicą, Suzanną. Mara trzymała na rękach ich synka, Cody'ego. Białaczka Suzanny od czterech i pół roku nie dawała o sobie znać. Jeszcze sześć miesięcy i cała rodzina będzie mogła odetchnąć z ulgą. Po pięciu latach niebezpieczeństwo nawrotu praktycznie już nie istniało.

Obecność rodziny sprawiała, że ślub nabierał większej wagi. Zach pragnął tylko czysto formalnych więzów, ale wypowiadając przysięgę w obecności rodziców poczuł, że gardło ma wyschnięte.

Musiał nieustannie powtarzać sobie w myślach, że Rebecca nie będzie jego prawdziwą żoną, a jedynie odpowiednią matką dla jego dzieci.

Gdy wsuwał jej na palec prostą złotą obrączkę, poczuł drżenie jej dłoni. Przyszło mu do głowy, że jeśli za rok będzie się rozwodził, rodzina podniesie raban.

- Możesz pocałować pannę młodą - rzekł wreszcie sędzia.

Zach wstrzymał oddech i spojrzał na twarz Rebeki. Z kącika jej oka spłynęła pojedyncza łza. Zanim zdążył pomyśleć, pochylił się i pocałował to miejsce, po czym uniósł jej twarz i odnalazł usta.

Pocałował ją lekko i puścił, obawiając się, że jego pożądanie stanie się zbyt widoczne.

- Gratuluję, synu. - Ojciec uścisnął go mocno i zwrócił się do Rebeki. - Wiem, że Zach będzie z tobą szczęśliwy. Mam nadzieję, że to małżeństwo będzie równie udane jak małżeństwa dwojga moich pozostałych dzieci. Z całego serca życzę wam długiego i szczęśliwego życia.

Było coraz gorzej. Zach z przerażeniem patrzył na matkę, która ścisnęła swą nową synową, obficie roniąc łzy.

- Witaj w naszej rodzinie, Rebecco. Nie podobał mi się sposób, w jaki Zach szukał żony, ale bardzo się cieszę, że wybrał właśnie ciebie.

- Dziękuję, pani Whitelaw.

- Proszę, nazywaj mnie Candy. Albo mamą, jeśli wolisz.

Rebecca spojrzała na Zacha z desperacją. Zrozumiał jej obawy i pospieszył żonie z pomocą. Wsunął rękę pod jej ramię, odciągając ją na

bok.

- Dziękujemy, mamó - rzucił szybko.

- Przygotowałam tort weselny i kolację dla wszystkich - dodała pani Whitelaw. - Przyjdziecie?

Uśmiechnął się z wysiłkiem. Jak mógłby odmówić?

- Jasne, mamó. Ale musimy jeszcze wstąpić na chwilę do domu.

Ku utrapieniu Zacha jego siostra przyniosła ryż, którym wszyscy zaczęli obrzucać nowożeńców na schodach. Właściwie nie był to ryż, lecz ziarno dla ptaków. Zach pomyślał, że rytuał płodności jest tu całkiem stosowny, ale to także dowodziło, iż jego rodzina spodziewała się trwałego małżeństwa. Mógł tylko mieć nadzieję, że tak się stanie.

Pochwycił dłoń Rebeki i pobiegł wraz z nią do samochodu, tam jednak okazało się, że na tylnej szybie ktoś wypisał kremem do golenia słowo „nowożeńcy”, a do zderzaka przywiązano pęk starych butów i puszek. Zach miał ochotę jednocześnie śmiać się i kląć. Czy oni niczego nie rozumieli? Wcale nie chciał tego wszystkiego. Czuł się nieswojo, uświadamiając sobie, że nie gra uczciwie. Rzut oka na twarz Rebeki przekonał go, że ona również nie jest tym zachwycona.

Niemal siłą wepchnął ją na fotel i wyjechał sprzed gmachu sądu przy akompaniamencie wybuchów śmiechu. Na skraju miasta zwolnił.

- Naprawdę potrzebujesz czegoś z domu czy po prostu chciałeś się na chwilę oderwać od rodziny? - zapytała Rebecca,

- Czy to było aż tak widać?

- Ja to zauważyłam. Twoja rodzina chyba o niczym nie ma pojęcia. Zach, oni nie wiedzą, na czym naprawdę polega nasze

małżeństwo, prawda?

- Nie, nie wiedzą.

- Nie mogę mówić „mamo” do twojej matki -jęknęła Rebecca. -
Ale obawiam się, że jeśli tego nie zrobię, ona będzie się czuła urażona.

- To mów tak do niej.

- Zach, a jeśli nie zajdę w ciążę? Jeśli to wszystko okaże się
farsą?

- Będziemy się o to martwić później. Na razie spróbujmy jakoś
przetrwać dzisiejszy dzień.

Zaparkował samochód przed domem, pochwycił Rebeccę za rękę
i pociągnął na próg kuchni.

- Hej, mała - powiedział niskim, drżącym głosem. Rebecca
poczuła dreszcz oczekiwania na plecach. - Witaj, żono... - Zach uniósł
jej twarz do góry.

- Witaj, Zach - odrzekła i ujrzała na jego twarzy leciutki grymas.
Czyżby się spodziewał, że będzie go nazywała mężem? Bardzo tego
pragnęła, ale zaczęła już sobie uświadamiać, że musi się chronić, jeśli
ma przetrwać najbliższy rok. To on ustalił zasady. Powinna się starać
utrzymywać emocjonalny dystans między nimi, przynajmniej dopóki
nie zajdzie w ciążę. Dopiero wówczas będzie mogła bezpiecznie
zakochać się w swoim mężu.

- Boże, jak ja cię pragnę! - wychrypiał.

- Teraz? Musimy pojechać do twoich rodziców...

- Jeszcze nie - potrząsnął głową. - Najpierw chcę się z tobą
kochać.

Rebecca poczuła na całym ciele gęsią skórę.

- Och, Zach.

Nie potrzebował innej zachęty.

- Zdejmijmy te ubrania.

Patrzyła na niego, gdy ściągał wysokie buty i krawat. Po chwili stał już przed nią nagi i podniecony. Rebecca poczuła onieśmienie. Ściągnęła przez głowę sukienkę i szybko zrzuciła jedwabną bieliznę. Zach już był przy niej.

- Nie zdejmuj mokasynów - powiedział ostro. Rebecca zastygła. Pozostała tylko w mokasynach i przepasce na głowie, ale nie czuła wstydu. W ciemnych oczach Zacha lśnił podziw.

Przesunął palcami po przepasce i opuścił dłoń na jej piersi.

- Jesteś piękna... moja indiańska księżniczko. Pochylił głowę i pocałował ją. Tym razem Rebecca wiedziała, czego się spodziewać, a w każdym razie tak jej się wydawało. Tylko że teraz Zach się nie śpieszył. Całował najpierw jedną stronę ust żony, potem drugą, a wreszcie zaczął przesuwać językiem po całych wargach. Dłonie osunęły się na jej pośladki i wśliznęły między uda. Rebecca poczuła, że kolana pod nią drżą. Zach pochwycił zębami jej ucho, po czym nagle podniósł ją i ruszył do sypialni. A tam rozsunął szklane drzwi i wyszedł na patio.

Pogoda była piękna. W powietrzu unosił się zapach wisterii. Zach położył żonę na wilgotnej trawie i nakrył jej ciało swoim.

Rebecca chwyciła go za ramiona i z cichym okrzykiem rozsunęła nogi.

- Dobrze się czujesz? - zapytał, wchodząc w nią delikatnie.

Krew dudniła jej w żyłach, serce biło jak oszalałe. Dokoła kwitły kwiaty i śpiewały ptaki. Leżeli w cieniu wielkiego dębu,

- Tak, Zach. Jest mi bardzo dobrze.

Wsunął ręce pod jej biodra i kochał się z nią powoli. Rebecca poruszała się niespokojnie pod dotykiem jego dłoni i ust. Sama także pieściła go i całowała wszędzie, gdzie mogła dosięgnąć. Wkrótce Zach zaczął tracić kontrolę nad sobą. Rebecca patrzyła na jego twarz. Zamknął oczy, zacisnął zęby i jęknął w spazmie rozkoszy.

Przymknęła oczy, odrzuciła głowę do tyłu i poddała się dreszczom przebiegającym przez całe jej ciało.

Przez dłuższą chwilę oboje leżeli nieruchomo w trawie. Teraz już Rebecca była pewna, że Zach nigdy nie kochał się tu z Cynthią. Cieszyła się, że żaden duch nie zakłóca ich spokoju.

- Trzeba się ubrać - powiedziała, gdy wreszcie odzyskała oddech. - Musimy pojechać do twoich rodziców.

- Mam nadzieję, że niedługo zajdziesz w ciążę - wymruczał.

Rebecca poczuła dławienie w gardle. Komentarz Zacha był jak szklanka zimnej wody wylana na jej twarz.

- Muszę się ubrać - odrzekła ostrym tonem i szybko wbiegła do domu.

Zach wyczuł zmianę jej nastroju i zastanawiał się, czym ją uraził. Nie miał zamiaru kochać się z nią tak gorączkowo, ale nie potrafił opanować pożądania. Może nie spodobało jej się, że położył ją na trawie. Ale gdy wszedł do sypialni, niosąc ją na rękach, poczuł, że nie

chce zaraz po ślubie kochać się z żoną w tym samym łóżku, w którym znalazł Cynthię z innym mężczyzną.

Obrócił się na plecy i oparł policzek na ramieniu. Miał nadzieję, że Rebecca już zaszła w ciążę. Nie chciał tworzyć emocjonalnych więzi - choć przyznawał, że ciekawiła go jej osobowość - dopóki nie był pewien, czy to małżeństwo przetrwa. Nie tylko jego rodzina cierpiałaby z powodu rozwodu. Wiedział, że jemu także trudno byłoby zapomnieć o Rebecce.

Wrócił do domu przez drzwi kuchenne. Ubrał się, nie włożył jednak krawata, i czekał na Rebeccę, przechadzając się nerwowo po kuchni. Miał ochotę zajrzeć do sypialni i zobaczyć, co ona tam robi tak długo.

Gdy stanęła w drzwiach, przyjrzał się jej uważnie. Podpuchnięte oczy i zaczerwieniony nos świadczyły o tym, że płakała. Przepaska, mokasyny i indiańska sukienka zniknęły. Rebecca była teraz ubrana w prostą, bawełnianą sukienkę. Wąskie ramiączka ukazywały jej nagie ramiona. Na bosych stopach miała sandały. Z włosami związanymi w koński ogon wyglądała na siedemnaście lat.

Zach miał wrażenie, że po raz pierwszy zobaczył ją naprawdę taką, jaką była. Młoda kobieta, bardzo ładna, otwarta i uczciwa. Napotkał jej spojrzenie i zauważył, że ślepe zaufanie, które dostrzegał w niej jeszcze tego ranka, zniknęło. W zielonych oczach błyszczała ostrożność. Podbródek jej drżał.

- Jestem gotowa - powiedziała zachrypniętym głosem.
- Płakałaś.

- To był męczący dzień.
- Jeszcze się nie skończył. Jesteś pewna, że chcesz iść na to przyjęcie?

Uniosła wyżej głowę i wyprostowała ramiona.

- Oczywiście, że tak.

Ma charakter, pomyślał Zach. Przynajmniej to się nie zmieniło.

- W takim razie chodźmy... - Odsunął się o krok Poczł rozczarowanie, gdy wyminęła go w milczeniu Wyciągnął rękę i zatrzymał ją.

- Co się stało?
- Nic.
- Nigdy bym ci nie zrobił krzywdy, mała. Spojrzała na niego przez ramię i odpowiedziała z napięciem:
- Już mi ją zrobiłeś.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Rebecca wypła łyk gorącej kawy, sparzyła sobie język i odstawiła kubek.

- Mam okres - wykrztusiła, patrząc na Zacha, który siedział naprzeciwko niej. Oznaczało to, że nie jest w ciąży i że nie będą mogli się kochać przez najbliższych kilka dni.

Minęły już trzy miesiące od ślubu. Rebecca zaryzykowała spojrzenie na twarz Zacha i zauważyła na niej grymas. Już otwierała usta, by zacząć przeproszać, ale w ostatniej chwili ugryzła się w język. Kochali się codziennie, czasami dwa razy dziennie.

Dotychczas nie udało jej się sprawić, by mąż się w niej zakochał. Za to plany zorganizowania obozu stawały się coraz konkretniejsze. Obóz miał się nazywać Mały Sokół. Zach robił wszystko, o co Rebecca go prosiła.

- Może powinnam pójść do lekarza - westchnęła.
- Chyba jeszcze na to za wcześnie?
- Sama nie wiem, co zrobić - odrzekła z irytacją.

Zauważyła już, że Zach nigdy się z nią nie kłóci, jeśli może po prostu zmienić temat i w ten sposób postawić na swoim. Teraz obserwowała tę taktykę z rozbawieniem.

- Zdaje się, że oba budynki są już wykończone - powiedział. - Jeśli się nie mylę, wszystko jest gotowe. Kiedy ma przyjechać pierwsza grupa dzieci?

- Jutro - odrzekła Rebecca z entuzjazmem. - Cały tuzin: sześć dziewczynek i sześciu chłopców.

- Wczoraj poznałem twojego nowego asystenta.

- Rowleya? Jestem pewna, że świetnie sobie poradzi z dziećmi.

Jest zawsze uśmiechnięty. Powiedział mi też, że wychował się na ranczu, więc zna się na zwierzętach.

- Ma złamaną rękę - zauważył Zach.

- No tak, to prawda - przyznała. - Ale potrafi siodłać konie jedną ręką.

Spotkała Rowleya Holidaya na autostradzie, gdy próbował dostać się do miasta autostopem. Stał przy drodze z siodłem przewieszonym przez ramię. Oczywiście zatrzymała się i zabrała go. W pierwszej chwili młody człowiek był trochę milczący, ale Rebecca szybko postarała się o to, by się rozluźnił i opowiedział jej o swoim życiu. Rowley pracował przy rodeo. Miał pecha, bo złamał rękę i musiał czekać sześć tygodni, aż kość się zrośnie. Przez ten czas pozostawał bez pracy.

Rebecce spodobał się jego entuzjazm do pracy i umiejętność znoszenia kłopotów z uśmiechem. Bez namysłu zaproponowała mu posadę wychowawcy na obozie. Podobnie jak pani Fortunata, Rowley nie miał żadnych referencji ani kwalifikacji do wykonywania tego typu zajęcia, ale w końcu nie miał to być zwykły obóz. Rebecca postarała się o to, by lekarz mógł przybyć na każde wezwanie. Teraz potrzebowała jeszcze dodatkowej pary rąk - a nawet mocnej jednej ręki - oraz donośnego głosu, jednym słowem: mężczyzny, który mógłby się

zając chłopcami. Ona sama i pani Fortunata miały się opiekować dziewczynkami.

- Świetnie się składa - powiedziała. - Możesz trochę popracować u mnie i Zacha, a potem wrócić do rodeo.

- Sam nie wiem, proszę pani...

Grzeczność młodego kowboja bardzo podobała się Rebecce.

- Musisz się zgodzić, Rowley. Obóz zaczyna się za tydzień.

Namówiłam mojego męża, żeby zajął się chłopcami, ale on i bez tego ma dosyć pracy. Zrobiłbyś nam wielką przysługę.

Rowley oczywiście był tak miły, że przyjął propozycję.

Przywiozła go ze sobą na Sokole Wzgórze i umieściła w budynku dla chłopców.

- Czy zatrudniłaś jeszcze kogoś, o kim powinienem wiedzieć? - zapytał Zach.

- Ostatni był pan Tuttle - odrzekła.

- Bogu dzięki - wymamrotał. - A co do niego...

Rebecca nie miała ochoty na kłótnię, więc podniosła się szybko i odstawiła kubek z resztką kawy do zlewu.

- Muszę już iść, Zach. Do zobaczenia wieczorem. Musnęła go ustami w policzek i zniknęła za drzwiami.

Wyszedł z kuchni w chwilę po niej i ruszył do stodoły. Dojrzał Rebecce po przeciwnej stronie podwórka. Zach patrzył na nią melancholijnie, z niedowierzaniem myśląc o zamęcie, jaki zapanował w jego życiu od dnia ślubu. Rebecca nie zmieniła się wiele od czasów, gdy mieszkała tu jako dziecko i wiecznie ciągnęła za sobą orszak

kalekich zwierząt. Nadal przyprowadzała do domu wszelkie przybłędy, tylko że teraz były to istoty dwunożne.

Pani Fortunata uparła się, że do czasu, gdy przyjadą pierwsze dzieci, będzie im gotować, by się odwdzińczyć za mieszkanie. Okazała się całkiem przyzwoitą kucharką, o ile nie miało się nic przeciwko dużej ilości makaronu. Oprócz niej został jeszcze zatrudniony kowboj ze złamaną ręką, Rowley Jak-mu-tam, i stary, pokrecony przez artretyzm mężczyzna, pan Turtle, który miał czyścić stajnie i karmić pół tuzina kucyków kupionych przez Rebeccę z myślą o dzieciach. Niestety, nie był w stanie nawet wziąć do ręki wideł, nie wspominając już o dźwignięciu beli siana.

Nie chodziło o pieniądze. Zach zaczął prowadzić gospodarstwo, posiadając pokaźny fundusz powierniczy i przez ostatnie piętnaście lat jego ranczo przynosiło dochody. Można go było nazwać bogatym człowiekiem.

- Ale jeśli nadal będziesz tak postępować -ostrzegł Rebeccę - Sokole Wzgórze stanie się Mekką dla wszystkich włóczęgów w całym Teksasie. Każdy obdartus będzie pewny, że dostanie tu pracę, jeśli tylko uda mu się wymyślić jakąś wzruszającą historyjkę.

Zajrzała mu głęboko w oczy.

- Zach, przecież wiesz, że nigdy bym nie pozwoliła, aby ktoś nadużył twojej wielkoduszności - odrzekła.

Co można było odpowiedzieć na takie stwierdzenie?

Zach został omotany przez tę kobietę. Nie było żadnego sposobu na jej wielkie serce. Stanowiło ono nieodłączną część jej samej.

Prawdę mówiąc, pani Fortunata była miłą, starszą kobietą, a Rowley nawet z jedną sprawną ręką okazał się nieustrudzonym pracownikiem. Zach musiał też przyznać, że w stajniach panowała czystość, a kucyki były nakarmione.

Siodłając konia, spoglądał na Rebecę. Szła właśnie przez podwórko do jednego z budynków, w których miały zamieszkać dzieci. Rowley pracował na ogrodzonym placu, który miał posłużyć jako maneż.

Koń był już osiodłany. Zach stał i przyglądał się ożywionej rozmowie Rebeki z kowbojem.

Jego małżeństwo wyglądało zupełnie inaczej, niż to sobie wcześniej wyobrażał. Przede wszystkim nie spodziewał się, że żona tak go zafascynuje. Gdy była w pobliżu, nie mógł oderwać od niej oczu. Ostatniego wieczoru odkrył malutki pieprzyk pod jej lewym uchem. Pieprzyk przyciągnął najpierw jego uwagę, potem dłoń, a wreszcie usta. Przy śniadaniu wyobrażał sobie, że przesuwa palcami po jej delikatnych włosach. Nawet z tej odległości nie był odporny na jej urok. Gdy uśmiechnęła się ciepło do kowboja, poczuł ucisk w żołądku.

Gdyby chodziło tylko o atrakcyjność fizyczną, dawno by się już nią nasycił. Odkrył jednak ze zdziwieniem, że Rebecca najbardziej mu się podoba wtedy, gdy mówi o swoich planach związanych z obozem albo o ludziach, którym trzeba tylko odrobinę pomóc - co chętnie czynił - by mogli znów stanąć na nogi. W jej oczach lśnił wtedy entuzjazm, który przyciągał go jak ognisko podczas chłodnej nocy.

Obawiał się, by jego podziw dla Rebeki nie stanął na drodze

zdrowemu rozsądkowi. To nie było prawdziwe małżeństwo. Rebecca nie była jego prawdziwą żoną. To tylko kontrakt.

Wiedział jednak, że musi się chronić przed cierpieniem spowodowanym przez kolejny nieudany związek. Co prawda, nigdy nie zauważył, by Rebecca oglądała się za innymi mężczyznami, może więc tym razem nie zostanie wystrychnięty na dudka. Nie mógł jednak oprzeć się wrażeniu; że jest dla niej po prostu jeszcze jednym kaleką, tyle że emocjonalnym, a nie fizycznym. Rebecca najwyraźniej czuje potrzebę zaopiekowania się nim aż do chwili, gdy podobnie jak pozostali podopieczni on także stanie pewnie na własnych nogach i będzie mógł przejść w inne ręce.

Gdyby ją pokochał, naraziłby się na cierpienie, nie mając pewności, czy ona również może go pokochać. Och, na pewno darzyłaby go troską i uwagą, ale to nie to samo, co być kochanym - ciałem, sercem i duszą.

Jedyny sposób, by walczyć z tym narastającym przyciąganiem, to trzymać się od niej na dystans. Ale za każdym razem, gdy wyznaczał symboliczną granicę, Rebecca nieświadomie, wręcz nonszalancko ją przekraczała. Nieustannie przychodziła do niego po radę. Czy ściany w budynku dla chłopców powinny być niebieskie, czy też zielone? Czy lepiej zacząć od dziesięciorga dzieci, czy od dwanaściorga? Czym chłopcy lubią się zajmować w wolnych chwilach? Czy mieszkania wychowawców są wystarczająco duże?

Co gorsza, syn, którego bardzo pragnął mieć, w jego wyobraźni stał się niebezpiecznie podobny do Rebeki. Wcześniej wydawało mu

się, że to nie ma znaczenia, jaka kobieta będzie matką jego dzieci. Teraz stało się to bardzo ważne. Nie miał pojęcia, co zrobi, jeśli Rebecca nie zajdzie w ciążę przed upływem roku.

Od strony ogrodzenia dla kucyków rozległ się wybuch śmiechu. Zach przymrużył oczy i wpatrzył się w Rowleya, który stał z uśmiechem przyklejonym do warg, wysuwając biodro do przodu. Rebecca położyła rękę na jego ramieniu, on zaś pochylił głowę w jej stronę i uważnie słuchał tego, co mówiła. Wyciągnął rękę i pomógł jej usiąść na żerdzi ogrodzenia. Nie cofnął jednak ręki. Pozostała oparta na jej udzie.

Zach poczuł ucisk w żołądku i uświadomił sobie, że jest zazdrosny. Nie była to nawet zwykła zazdrość, lecz coś bardziej pierwotnego, reakcja samca, któremu inny samiec próbuje odebrać partnerkę. Zach znał już to uczucie. Wszystkie mięśnie w jego ciele napięły się w gotowości do walki.

Zbliżył się do nich niespostrzeżenie, nie spuszczając z oczu męskiej dłoni, która spoczywała na udzie jego żony. W tej chwili nie widział Rebeki, lecz Cynthię, spocone ciało leżące pośród pomiętych prześcieradeł w objęciach innego mężczyzny. Bez ostrzeżenia pochwycił Rowleya za ramię i uderzył w szczękę.

- Zach! Czyś ty zwariował? Co robisz? - wykrzyknęła Rebecca, klękając przy leżącym na ziemi kowboju. - Nic ci się nie stało, Rowley?

Rowley przyłożył zdrową rękę do obolałego miejsca.

- Chyba nie. - Podniósł wzrok na Zacha. - O co, do diabła,

chodzi?

- Trzymaj ręce z dala od mojej żony. Rebecca gniewnie spojrzała na męża.

- Co ci się stało? Rowley nic złego nie zrobił.

- Trzymaliście się za ręce.

- To było zupełnie niewinne!

- Ach, tak - mruknął Zach sarkastycznie.

- Chyba was tu zostawię, żebyście mogli sobie wszystko wyjaśnić - powiedział Rowley, podnosząc się z ziemi.

- Zostań tutaj! - zawołała Rebecca. - Zach jest ci winien przeprosiny.

- Jeszcze czego.

- Przepróż go, Zach.

- Zrobię coś innego. - Zach spojrzał z nienawiścią na kowboja. - Już tu nie pracujesz. Zabieraj swoje rzeczy i znikaj stąd jeszcze dzisiaj.

Rebecca nie usiłowała pohamować wściekłości.

- Nie ruszaj się stąd, Rowley. To mój obóz - rzuciła w stronę Zacha - i nie masz prawa wyrzucać moich pracowników!

- To moje ranczo i jeśli mówię, że ktoś ma odejść, to musi to zrobić! Rebecca z rozpaczą przesunęła ręką po włosach.

- Zach, Rowley jest mi potrzebny. Nie dam sobie sama rady z dwanaściorgiem dzieci.

- Ja ci pomogę. - Dopiero w tej chwili zdał sobie sprawę, że poczuł się urażony, gdy Rebecca przekazała jego obowiązki Rowleyowi. Wiedział, że gdy widziała człowieka mającego kłopoty,

nie potrafiła przejść obok, nie oferując mu żadnej pomocy, z trudem jednak znosił rolę drugich skrzypiec przy innym mężczyźnie.

- Wiem, że chcesz mi pomóc. Bez ciebie nigdy bym tego wszystkiego nie dokonała. Ale sądziłam, że dodatkowe zajęcie będzie dla ciebie tylko kłopotem. Naprawdę potrzebujemy jeszcze jednej pary rąk.

- On ma tylko jedną sprawną - prychnął pogardliwie Zach.

- Mimo to - tłumaczyła Rebecca z wielką cierpliwością - proszę, powiedz mu, że chcesz, aby został.

Zach przyjrzał się kowbojowi spod przymrużonych powiek. Rowley spokojnie wytrzymał jego wzrok. Nie usiłował przeproszać, ani nie zachowywał się prowokująco. Nie było to spojrzenie winnego.

Może rzeczywiście trochę przesadził. W każdym razie Rowley zrozumiał, co trzeba. Nie będzie więcej próbował dotykać Rebeki.

Dopóki to jedno jest jasne, może między nimi zapanować pokój.

- Przykro mi, że cię uderzyłem - mruknął z niechęcią.

Rowley ujął wyciągniętą dłoń.

- Nie ma o czym mówić, szefie.

- Możesz tu zostać.

- Dziękuję.

- No, widzisz. Nie było to takie trudne - ucieszyła się Rebecca, wsuwając dłoń pod ramię Zacha.

- Wiem, że bardzo się zaprzyjaźnicie.

Zach i Rowley wymienili spojrzenia. Znając Rebecę, obydwaj wiedzieli, że to całkiem możliwe.

Zach przyjrzał się ośmioletniemu chłopcu, który dzielnie wytrzymał jego wzrok.

- Jesteś pewien, że chcesz to zrobić?

- Mhm.

Posadził chłopca na grzbiecie kucyka i wsunął obute w tenisówki stopy w skrócone strzemiona. Już wcześniej pokazał mu, jak kierować wozami. Sprawdził, czy baseballowa czapeczka mocno siedzi na głowie. Wszystkie dzieci nosiły takie czapeczki. Większość z nich nie miała włosów. Wyłysiały po chemioterapii.

- To nic takiego, mały - powiedział, wpatrując się w poważne, szare oczy. - Poruszaj się razem z koniem. W razie jakichś kłopotów zadmij w trąbkę.

- Mam na imię Pete.

- Dobrze, Pete.

Zach wskoczył na swojego konia. Przed sobą miał szereg siedzących na kucykach chłopców w wieku od ośmiu do dwunastu lat. Przed Rebecca siedziało sześć dziewczynek.

- Wszyscy gotowi? - Napotkał spojrzenie żony. Skinęła mu głową z uśmiechem. Pete, ostatni w szeregu, mocno ścisnął w dłoni trąbkę. - Jedziemy. Usłyszał podniecone chichoty i okrzyki:

- Juhuuu!

Poczekał, aż wszystkie dziewczynki ruszą, po czym dał sygnał chłopcom. Sam jechał jako ostatni. Na widok twarzy dzieci nie mógł powstrzymać wzruszenia. Dziwne, że zwykła jazda konna mogła dać im tyle radości.

Wszystkim, oprócz Pete'a. Ten -się nie uśmiechał i mocno ścisnął w dłoni trąbkę.

Zach zrównał się z nim. Chłopiec był drobny jak na swój wiek.

- Jeśli cię to nie bawi, to nie musisz jeździć konno.

- Ale ja chcę.

- Dlaczego?

- Nie wiem, czy jeszcze kiedyś będę miał okazję. - Pete spojrzał prosto w twarz Zacha. - Widzi pan, ja umrę.

Zach nie był pewien, co powinien powiedzieć. Wiedział, że Rebecca ma karty choroby wszystkich tych dzieci, nie miał jednak pojęcia, czy była tam mowa o szansach na wyzdrowienie.

- Do diabła, wszyscy kiedyś umrzemy. - Rozejrzał się niespokojnie, sprawdzając, czy Rebecca go nie usłyszała. Przysiągł jej uroczyście, że nie będzie kłął przy dzieciach. Ale w tej sytuacji przekleństwo nie wydawało się niczym strasznym.

Zach jeszcze nigdy w życiu nie widział takiego znużonego, cynicznego wyrazu twarzy dziecka. Oczy, które patrzyły na niego, nie były oczami ośmiolatka, lecz osiemdziesięciolatka.

- Umrę jeszcze przed Bożym Narodzeniem - powiedział Pete.

- Mam nadzieję, że nie.

- No tak, ale nadzieja nie zawsze pomaga - odrzekł Pete.

Zach nie był pewien, czy powinien go pocieszać. Może Pete miał rację. Ale przecież cuda się zdarzały. Zauważył, że chłopiec rozluźnił się nieco w siodle.

- Dobrze ci idzie - pochwalił go.

- Tak - przyznał chłopiec. - To nie jest takie trudne, jak myślałem. - Uśmiechnął się lekceważąco. - Bałem się, że upadnę i zrobię sobie krzywdę. Nie chcę umrzeć wcześniej, niż będę musiał.

- Rozumiem - mruknął Zach. - Zdaje się, że zostaliśmy z tyłu. Potrafisz pojechać szybciej?

- Jasne - Pete pochwyił trąbkę, wbił pięty w boki kucyka i szybko zrównał się z całą grupą.

Zach odchylił się do tyłu w siodle. Żałował, że nie ma tu Rowleya, ale kowboj był zajęty przygotowywaniem popołudniowych zajęć. W obecności tych dzieci należało się jak najczęściej uśmiechać, a Zach nie potrafił się na to zdobyć.

- Jadę do kanionu - zawołała do niego Rebecca.

- Dobrze - odkrzyknął. - Uważaj, żebyś nie zbłądziła na stromą ścieżkę.

Ścieżka prowadząca do kanionu rozwidlała się na dwie odnogi. Jedna z nich była szeroka i łatwa, doskonała dla niedoświadczonych jeźdźców, druga zaś wąska i kręta. Łatwo było przeoczyć zjazd na szerszą ścieżkę i znaleźć się na trudniejszym szlaku.

- Czy to Indianie narysowali te obrazy? - zapytał Pete, kiedy przejeżdżali obok skalnych rycin na ścianie kanionu.

- Nie oglądał tego żaden specjalista, ale myślę, że tak. Niektórzy z tych artystów mogli nawet być moimi przodkami.

- Albo przodkami pani Whitelaw - dodał Pete. Zach uniósł brwi ze zdziwieniem.

- Skąd wiesz, że pani Whitelaw jest indiańskiego pochodzenia?

- Powiedziała mi o tym, gdy ją poznałem w szpitalu.

Nie przyszło mu wcześniej do głowy, że Rebecca знаła już niektóre z tych dzieci. Przypuszczał, że po prostu zawiadomiła o obozie lekarzy zajmujących się dziećmi chorymi na raka. Ale przecież podczas dwóch lat pracy w szpitalu musiała się zetknąć przynajmniej z niektórymi z nich.

- Jak długo byłeś w szpitalu?

- Często tam bywałem przez ostatnie trzy lata.

- Teraz twoja choroba cofa się, tak? - zapytał Zach wiedząc, że jest to warunek uczestnictwa w obozie.

- Tak. Ale to nie potrwa długo.

- Skąd wiesz?

- Wiem.

Zach nie oponował. To dziecko zapewne wiedziało, o czym mówi.

Próbował traktować te dzieci indywidualnie, ale nic nie mógł poradzić na to, że były dla niego jednolitą grupą. Twarze pozbawione włosów stawały się do siebie podobne. We wszystkich oczach czaił się ten sam lęk. Niektóre się uśmiechały, inne nie. Tylko nosy miały różne, spiczaste lub płaskie, zadarte lub proste, piegowate lub opalone.

Pragnął się znaleźć gdzieś indziej. Nie potrafił traktować tych dzieci zwyczajnie, jakby były zdrowe. Gdyż były bardzo chore, a on nic nie mógł na to poradzić. Czuł wielki szacunek do Rebeki i do wszystkich ludzi, którzy potrafili przebywać z dziećmi codziennie i udawać, że wszystko jest w najlepszym porządku. Do takich osób

należał także jego brat Falcon, którego pasierbica była chora na białaczkę. Ale w przypadku Suzanny niebezpieczeństwo już właściwie minęło.

Gdy wrócili na ranczo, Zach zajrzał do karty choroby Pete'a. Nie miał pojęcia, co tam zobaczy. Słowa, które przeczytał, nic dla niego nie znaczyły. *Ostra białaczka szpikowa*. Co to właściwie znaczy? Czy to dziecko umrze, czy też nie?

Tego wieczoru, gdy Rebecca leżała w jego ramionach, poczuł, że nie potrafi zasnąć.

- Mała?
- Mhm?
- Jak możesz to znieść?
- Co? - wymamrotała sennie.
- Opiekę nad dziećmi... tymi dziećmi. Uniosła się nieco, zwracając twarzą do niego.

W świetle księżyca przesączającym się przez odsunięte żaluzje jej twarz majaczyła bladą plamą, ale rysy skryte były w cieniu. Wsunęła głowę w zagłębienie między jego szyją a ramieniem.

- To znaczy, nad dziećmi chorymi na raka?

Nie powiedziała „dziećmi, które mogą umrzeć”, ale wiedział, że to właśnie miała na myśli.

- Tak.

Poczuł, że Wzruszyła ramionami.

- Ale...

Odsunęła się nieco, wpatrując się w niego w ciemnościach.

- Chodzi ci o Pete'a?
- Skąd wiesz?
- Widziałam, jak z nim rozmawiałeś.
- Zjrzałem do jego karty choroby. Ma ostrą białaczką szpikową.

Czy to takie groźne?

Rebecca westchnęła.

- Procent przeżywalności wśród dzieci z tym rodzajem białaczki jest bardzo niski.

- Od jak dawna Pete jest chory?
- Poznałam go dwa lata temu. Wówczas rokowania były lepsze.

Miał ostrą białaczkę limfatyczną i choroba weszła w stadium remisji. Sześć miesięcy temu nastąpił nawrót i wtedy zdiagnozowano u niego groźniejszą odmianę raka.

- On wie, że umrze.
- Większość z nich ma tę świadomość.
- Jak one mogą się uśmiechać? Śmiać?
- Nie skupiają się na przeszłości ani na przyszłości. Po prostu

żyją z dnia na dzień.

Tak jak ja, miała ochotę dodać.

- Wiedziałaś, jak to będzie wyglądało - powiedział Zach.

Brzmiało to jak oskarżenie.

- Wiedziałam.
- Widzisz, nie wierzyłem ci.
- W co nie wierzyłeś?
- Że chcesz za mnie wyjść z powodu tego obozu. Sądziłem, że to

wymyślona na poczekaniu historyjka.

Rebecca cieszyła się, że Zach w mroku nie widzi dokładnie jej twarzy.

- A myślałeś, że dlaczego chcę za ciebie wyjść? Zach zaśmiał się cicho.

- Pomyślisz, że całkiem zgłupiałem. Wydawało mi się, że nadal jesteś we mnie zakochana.

Rebecca wstrzymała oddech.

- Teraz widzę, że naprawdę chodziło ci o ten obóz. I rozumiem, dlaczego. Wykonujesz dobrą robotę, mała.

- Zach, czy jest ci przykro, że... że cię nie kocham? Przez dłuższą chwilę milczał.

- Może tak jest lepiej. Nie muszę się czuć winny. Nie mam wrażenia, że cię oszukuję. Nasz układ nie jest taki zły. Szanuję cię, jak zapewne zauważyłaś - w blasku księżyca zauważyła, że się uśmiechnął - i bardzo lubię. Wiem, że będziesz doskonałą matką. Chyba nie mogłem dokonać lepszego wyboru.

Może w tej chwili wyznałaby mu prawdę, gdyby miała nadzieję, że to cokolwiek zmieni. Ale Zach nie powiedział ani słowa o tym, że ją kocha. Miała ochotę się rozplakać. Poczowała ucisk w gardle.

W mroku odnalazł jej usta. Wyczuła w nim rozpacz i zastanawiała się nad jej źródłem. Objęła go mocno, usiłując pocieszyć. Ale tego dnia nie kochali się; nie był to dzień płodny. Przyciągnął ją blisko do siebie i przytulił. Stopniowo uścisk zelżał, oddech wyrównał się, aż wreszcie Zach usnął.

Rebecca nie spała.

Wysunęła się spod jego ramienia i po cichu wyszła przez szklane drzwi. Pod bosymi stopami czuła mokrą trawę. Usiadła na drewnianej huśtawce i odbiła się stopami od ziemi. Huśtawka zaskrzypiała lekko.

Miała wiele spraw do przemyślenia.

Żałowała, że nie wie więcej o związku Zacha z Cynthią. Fotografia nadal stała na komodzie. W ciągu trzech miesięcy nie przesunęła się nawet o milimetr. Ale tego dnia Rebecca po raz pierwszy poczuła przebłysk nadziei, że może pewnego dnia to zdjęcie zniknie.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Rebecca była zupełnie wyczerpana. Cała przesiąkła zapachem siana i koni. Ubranie miała mokre od potu. Co jakiś czas spoglądała przez ramię na Zacha, który po drugiej stronie stodoły robił to samo co ona: wygarniał widłami siano dla kucyków.

Wysłała pana Turtle do miasta po zakupy, twierdząc, że woli pracować przy sianie niż znosić tłum w supermarkecie. Zach zauważył, że wykonuje pracę pana Turtle, i zaczął jej pomagać bez żadnych komentarzy. Nagrodziła jego wyrozumiałość promiennym uśmiechem. Ale przez cały czas, gdy wspólnie pracowali, Zach nie odezwał się do niej ani słowem. Widać było wyraźnie, że coś go gryzie.

Rebecca podejrzewała, co to może być.

Zach chodził nachmurzony od dnia, gdy Pete wraz z całym tuzinem obozowiczów po tygodniu spędzonym na ranchu wsiadł na pokład czarterowego samolotu, który leciał do Dallas. Zamienili na lotnisku tylko kilka słów, ale ta rozmowa najwyraźniej przygnębiła Zacha.

- Chcesz pogadać? - zapytała Rebecca.

Nie odpowiedział, tylko zaczął przerzucać siano jeszcze energiczniej. Rebecca oparła widły o drzwi stajni, podeszła do męża i dotknęła jego ramienia. Obrócił się raptownie i gdyby nie odskoczyła, zahaczyłby o nią widłami. Straciła równowagę i z okrzykiem bólu upadła na betonową podłogę. Zach oparł widły o ścianę i stanął nad nią.

- Boli cię?

- Biodro...

Przyklęknął na jedno kolano i delikatnie zaczął masować jej biodro i pośladek.

- Teraz lepiej?

- O wiele lepiej.

Rebecca jak zahipnotyzowana wpatrywała się w jego dłoń, zdumiona jej siłą. Naraz Zach zamarł. Zerknęła na jego twarz. Patrzył na nią, jakby ją widział po raz pierwszy w życiu.

Wyciągnęła rękę i odgarnęła z jego czoła kosmyk włosów. Przez twarz Zacha przebiegł grymas, ale mąż nie uchylił się. W ciemnych oczach pojawił się płomień.

Dłoń Rebeki opadła. Opuściła powieki, uciekając przed jego spojrzeniem. Zach podniósł się i pociągnął ją za sobą. Przez chwilę nie była pewna, czy utrzyma się na nogach. Oparła się o niego. Jej piersi otarły się o jego tors. Usłyszała głośno wciągnięty oddech.

Zacisnął ręce na jej przegubach, pomagając zachować równowagę. Rebecca patrzyła na niego spod opuszczonych rzęs. Na jego twarzy pojawił się grymas. Odsunął się od niej o krok.

No cóż, skoro nie chciał, żeby go dotykała, to trudno. Jakoś będzie musiał to znosić. Przypomniała sobie jednak jego wcześniejsze przygnębienie.

- Zach, czym się tak martwisz? Wsunął kciuki w tylne kieszenie dżinsów.

- Nie wiem, o czym mówisz.

- Odkąd pożegnałeś się z Pete'em na lotnisku, przez cały czas jesteś dziwnie ponury. Czy on powiedział coś, co cię zdenerwowało?

Zach prychnął. Rebecca nie była pewna, czy więcej w tym było niechęci, czy lekceważenia.

- Ten dzieciak umiera i mówi mi, że ma nadzieję spotkać się ze mną następnego lata. Co miałem mu powiedzieć? Tak, mały, jasne, do zobaczenia za rok. Jeśli będziesz jeszcze żył!

W jego głosie zabrzmiało cierpienie. Po chwili odwrócił twarz.

- Nie potrafię sobie z tym poradzić - powiedział cicho.- Będziesz musiała wynająć kogoś innego do opieki nad obozowiczami. I trzymaj te dzieci jak najdalej ode mnie.

Ruszył do wyjścia, zanim jednak zdążył zrobić dwa kroki,

Rebecca stanęła przed nim, opierając dłonie na biodrach.

- Jak śmiesz mnie opuszczać!

Zach zatrzymał się z wyraźną irytacją.

- Nie denerwuj mnie, mała.

- Ja mam ciebie nie denerwować? Czy myślisz, że mnie jest łatwo pracować z tymi dziećmi?

Zach wyglądał na zaskoczonego.

- A nie?

- Nie! Przez pierwszy rok, gdy pracowałam w szpitalu, przez cały czas chodziłam zapłakana. Potem przekonałam się, że płacz w niczym nie pomaga. Czy płakałam, czy nie, te dzieci i tak umierały. Teraz już nie płaczę, ale nadal mnie to boli. Myślę, że to nigdy nie minie. Ale muszę umieć z tym żyć. Można się nauczyć działać pomimo cierpienia. Zach przesunął dłonią po potarganych włosach.

- Więc co ci przyszło do głowy, żeby zorganizować ten nedorzeczny obóz?

- Czy to nedorzeczny pomysł, żeby dać chorym dzieciom trochę radości? Gdy widzę uśmiechy na ich twarzach, blask w oczach, czuję się dobrze i wtedy łatwiej mi poradzić sobie ze świadomością, że dni niektórych z nich są policzone.

- Ja to odbieram inaczej. Ta odrobina radości nie może im zrekompensować cierpienia, przez które przechodzą. Wycofuję się, mała. Znajdź sobie kogoś innego do tej roboty. O ile cię znam, nie zajmie ci to dużo czasu - zakończył z ironią.

Rebecca pobladła.

- Nie możesz mnie zostawić, Zach.
- Poczekaj, to się przekonasz.

Wyminął ją i był już w drzwiach, kiedy Rebecca wyszeptała słowo, na dźwięk którego stanął jak wryty.

- Tchórz.

Obrócił się, mrużąc oczy. Na jego pobludłej twarzy malowała się wściekłość i niedowierzanie.

- Coś ty powiedziała?
- Słyszałeś. Tchórz - powtórzyła z pogardą i rozpaczą.

W tej chwili było jej wszystko jedno. Zach musi się pogodzić z tym, że każdy człowiek, który kogoś kocha, może zostać zraniony, a lęk przed cierpieniem jest nierozzerwalnie związany z uczuciem i otwarcie się na inną osobę zawsze oznacza ryzyko cierpienia. Jeśli tego nie zrozumie, to jego serce na zawsze pozostanie twarde jak skała i nie będzie mógł jej pokochać. A w takim wypadku los ich małżeństwa jest przesądzony.

- Jeśli chcesz, to możesz odwrócić się plecami i wyjść. Pewnie, że łatwiej jest się tym wszystkim nie przejmować. Wtedy jednak pozostaniesz sam z samotnym, pustym życiem. Beze mnie.

Zach dopadł jej w dwóch susach, mocno pochwycił za ramiona i potrząsnął, aż zakreśliło jej się w głowie. Po chwili opamiętał się i znieruchomiał.

Stał jak posąg, dysząc ciężko, z płonącymi oczami i drgającymi mięśniami na policzkach.

- Nie jestem tchórzem - powiedział cicho, złowróżbnym tonem.

- A jak inaczej można nazwać mężczyznę, który schodzi z pola walki?

- Jakiej walki? Obserwowanie cierpień tych dzieci nazywasz walką? O czym ty mówisz?

O nas! miała ochotę zawołać. O naszej przyszłości!

- Zdaje się, że powinnam się tego spodziewać - rzuciła prowokująco. - Nie pierwszy raz już podwijasz ogon pod siebie.

- O czym ty, do diabła, mówisz? - powtórzył.

- O Cynthii.

- Nie będziemy rozmawiać o Cynthii! Wyciągnęła dłoń w jego stronę, ale choć bardzo tego pragnęła, nie odważyła się go dotknąć. Pieściła go tylko wzrokiem.

- Uciekasz przed bólem, jaki sprawiła ci jej strata, Zach. Robisz to od lat. Tak bardzo boisz się znów cierpieć, że nie pozwalasz sobie pokochać nikogo innego. Dlatego właśnie szukałeś żony przez ogłoszenie. To był najbardziej bezosobowy sposób związania się z drugą osobą, jaki potrafiłeś wymyślić. Bez niebezpieczeństwa, że obudzą się w tobie jakieś uczucia. Bez ryzyka, że będziesz cierpieć. Dopóki nie nauczysz się stanąć twarzą w twarz z bólem spowodowanym utratą kobiety, którą kochałeś, zaakceptować go i pójść dalej, dopóty będzie ci to ciążyło na sercu.

- Już przestało - rzekł Zach z goryczą.

- W takim razie dlaczego jej zdjęcie nadal stoi na komodzie? Zach otworzył usta, natychmiast jednak znów je zamknął.

- Nie jestem tchórzem - powiedział po chwili.

- Udowodnij to - odrzekła prowokująco.
- Nie muszę niczego udowadniać, ani tobie, ani nikomu innemu.
- A może potrzebujesz udowodnić coś sobie?
- Ja... - zawahał się.

Rebecca przyłożyła dłoń do jego piersi i poczuła szybkie uderzenia serca.

- Możesz to zrobić, Zach - powiedziała z trudem przez zaciśnięte gardło. - Właśnie teraz.

- Do diabła, mała. Mogę usunąć to cholerne zdjęcie z komody.
- To nie wystarczy...
- Czego jeszcze ode mnie chcesz?

Chciała miłości, ale tego nie mogła mu powiedzieć. Sam musiał to odkryć.

- Chcę, żebyś dotrzymał słowa i nadal pomagał mi w opiekowaniu się obozowiczami.

Zach przesunął stwardniałą dłonią po potarganych czarnych włosach.

- Dobrze. Pomogę ci. Jesteś zadowolona?
- Tak.
- Czy mogę już iść, nie obawiając się, że otrzymam następny cios w plecy?

Udało jej się krzywo uśmiechnąć.

- Jasne, Zach. Pójdę z tobą. Pani Fortunata znów się uparła, że przygotuje kolację. Zdaje się, że ugotowała pyszny makaron.

Przez całe popołudnie Zach nie zbliżał się do sypialni. Dopiero

wieczorem obydwójce wzięli prysznic i poszli do łóżka. Nie kochali się przez cały ostatni tydzień, ale tego dnia przy śniadaniu Rebecca powiedziała mu z uroczym rumieńcem, że już mogą zacząć. Po rozmowie w stodole zastanawiał się jednak, czy żona pozwoli mu się dotknąć. Nie przebaczył jej do końca tego, co powiedziała. Prawda zawarta w jej słowach sprawiała mu ból. Potrzebował jednak Rebeki - ulgi fizycznej, jaką mu dawała, poprawił się w myślach - i nie chciał tracić jeszcze jednego dnia. Opóźniał pójście do łóżka w nadziei, że zostanie ją już śpiącą. W ciągu ostatnich kilku miesięcy odkrył, że jeśli udało mu się ją podniecić pocałunkami przez sen, to po obudzeniu myślała tylko o tym, żeby się z nim kochać.

Ale nie spała jeszcze. Leżała na boku, twarzą do drzwi, i w świetle stojącej na komodzie lampki wyraźnie widział, że ma otwarte oczy. Rozebrał się powoli, czując na sobie jej wzrok. Poczuł podniecenie, ale z jej strony nie nadszedł żaden gest zaproszenia, żaden sygnał, że będzie mile widziany.

Wiedział, na co Rebecca czeka. Chciała, by schował zdjęcie Cynthii. Pragnęła, by stanął twarzą w twarz ze swym bólem i przewyciężył go. Gdyby tylko znała całą prawdę! Nienawidził Cynthii Kenyon i zawsze będzie jej nienawidził. Nic nie mogło tego zmienić. Cieszył się, że ta kobieta nie żyje.

Tylko że jego pierworodne dziecko zginęło wraz z nią. A zresztą może skłamała. Może był to bachor jakiegoś innego mężczyzny.

Wziął fotografię do ręki. Zauważył, że palce mu drżą. Otworzył szafę i położył zdjęcie na najwyższej półce. Zamknął drzwi, oparł czoło

o chłodną, lakierowaną drewnianą powierzchnię i kurczowo zacisnął palce na uchwycie.

Nie miał pojęcia, dlaczego oddycha tak szybko i drży na całym ciele. Miał wrażenie, że za chwilę się udusi.

- Chodź do łóżka, Zach.

Nie mógł pozwolić, by Rebecca w tej chwili widziała jego twarz. Obrócił się, by jej powiedzieć, że nie jest jeszcze gotowy, i zobaczył jej wyciągnięte ramiona.

Pchała go do niej magnetyczna siła. Na niepewnych nogach podszedł do łóżka i ze wszystkich sił przycisnął ją do siebie. Nie było w tym uścisku nic erotycznego. Zach po prostu czuł potrzebę bliskości z inną ludzką istotą. Pragnął poczuć czyjeś ciepło, które roztopiłoby lód w jego duszy.

Jej dłonie przesuwały się po jego twarzy, włosach, karku. Jej dotyk rozpalał go, a mimo to dygotał coraz mocniej.

- Och, moje kochanie. Mój najmilszy. Już dobrze. Jestem tutaj.

Łagodny głos Rebeki przyzywał go, a mimo to Zach miał wrażenie, że zapada się coraz głębiej w niezmierną otchłań. Było mu zimno. Dreszcze nie ustępowały.

Wtulił twarz w jej szyję, ale potrzebował czuć ją jeszcze bliżej, toteż rozsunął jej nogi kolanem i wbił się w nią.

Była ciepła i wilgotna. Coraz głębiej zapadał się w tę studnię, w nieprzeniknioną czerń. Na całym świecie nie istniało nic oprócz niego samego i jej obietnicy.

A także bólu.

To ból wywoływał dreszcze w jego ciele, ból ssał jego wnętrzności, wciągał go coraz głębiej w siebie.

Jego ciało zagłębiało się w ciele żony. Ze wszystkich sił usiłował walczyć z pochłaniającą go ciemnością. Poczł Ostrze ułucie jej paznokci na ramionach, jej pięty na swoich pośladkach. Rebecca wyciągała go na powierzchnię. Słyszał gardłowe dźwięki wydobywające się z jej ust, czuł zapach jej podnieconego ciała, i ze wszystkich sił walczył o to, by znów się zbliżyć do niej i do światła.

Napięcie wzmagalo się. Poczł prymitywne pragnienie, by w pełni posiadać swoją partnerkę. Widział przed sobą światło i przedierał się w jego stronę. Dyszał ciężko, wciągając życiodajne powietrze, ciało wygięło się spazmatycznie w łuk. Zach wykrzyknął i wypuścił w Rebecce nasienie.

Ukrył głowę na jej piersiach i mocno przyciągnął ją do siebie. Walczył z demonami i zwyciężył. Odnalazł poszukiwaną bezpieczną przystań. Rebecca była samym ciepłem i jasnością. Była życiem i szczęściem. Wszystkim, czego zawsze pragnął.

Gdzieś z głębi jego umysłu odezwał się głos rozsądku. Nie daj się ogłupić. Pamiętaj o cierpieniu. Jeśli dopuścisz do siebie ból, znów wpadniesz w niebezpieczne szpony miłości.

Trzymał się jej, trzymał ją tak mocno, że czuł uderzenia jej serca przy swoim, czuł urywany oddech przy swojej szyi, śliskość skóry ich zmęczonych ciał.

- Dziękuję, Zach - wymruczała Rebecca.
- Za co?

Nie odpowiedziała, ale wiedział, że chodzi jej o fotografię.

- To niczego nie zmienia - odrzekł szorstko. - I tak jej nie zapomnę. Ani nie zakocham się w tobie. Poczuł, że jej ciało zastygło w napięciu, szybko jednak rozluźniła się.

- Zdecydowałam się na to małżeństwo świadomie, Zach. Nie musisz mi ciągle przypominać o swoich uczuciach.

On jednak musiał przypominać o tym samemu sobie. Tak łatwo byłoby ją pokochać. Kusilo go, by odrzucić wszelkie bariery ochronne. Gdyby to zrobił, na pewno nastąpiłaby katastrofa.

Gdy obudził się następnego ranka, odruchowo spojrzął na komodę, szukając wzrokiem zdjęcia Cynthii. Nie było go tam jednak. Jak narkoman, Zach potrzebował swojej codziennej dawki nienawiści i braku zaufania. Musiał widzieć twarz, na której mógłby skupić te uczucia. Mógł wyjąć zdjęcie z szafy, ale przez cały czas, gdy się ubierał, Rebecca patrzyła na niego. Nie chciał dać jej tej satysfakcji i pokazać, że musi używać zdjęcia jako protezy.

- Pójdę zrobić śniadanie - rzekł w końcu, przyznając się tym samym do porażki.

Rebecca podeszła do niego, oplotła ramionami jego szyję, stanęła na palcach i pocałowała go w usta. Jej wargi były słodkie i miękkie.

- Za co to? - wymruczał.

- Tak po prostu.

W jej oczach zobaczył zrozumienie i aprobatę, ale poczuł się przez to nieswojo. Nie chciał, by jej uczucia miały dla niego znaczenie. Jeszcze trochę, a zacznie robić różne rzeczy tylko po to, żeby się jej

przypodobać. Takie zachowanie prowadziło mężczyznę prostą drogą ku niebezpieczeństwu... katastrofie... miłości.

- Przyjdę do kuchni za kilka minut, dobrze? - spytała.

- Dobrze.

Gdy Zach wyszedł z sypialni, Rebecca odetchnęła głęboko z ulgą. A może z desperacją... Sama nie była tego pewna.

Zrobił to w końcu. Schował zdjęcie Cynthii, Dlaczego więc nie czuła radosnej nadziei, tylko przygnębienie? ,

Powodem była rozpacz, jaką wyczuwała w Zachu, w sposobie, w jaki się z nią kochał. Dlatego właśnie czuła się tak rozstrojona. Musiał kochać Cynthię bardziej niż przypuszczała, skoro tak był poruszony tym, że nie mógł już codziennie rano spoglądać na jej zdjęcie. Skoro po siedmiu latach nadal tak bardzo ją kochał, to możliwe, że już nigdy nie zdoła się uwolnić od tej kobiety. Może Rebecca popełniła wielki błąd wychodząc za niego.

Ale teraz już nie było odwrotu. Czekają ich całe lato wspólnej pracy. Rebecca była gotowa się założyć, że prawdziwa kobieta z krwi i kości potrafi wygrać rywalizację z duchem.

On teraz jest mój, Cynthio. Pozwól mu być szczęśliwym.

Rebecca zadrżała, gdy poczuła na twarzy powiew Chłodnego powietrza. Stała pośrodku pokoju. Podniosła głowę i zauważyła, że bezpośrednio nad nią znajduje się urządzenie klimatyzacyjne. Stąd musiał pochodzić przeciąg. Głupia była, wyobrażając sobie, że to duch Cynthii nawiedza sypialnię Zacha.

Właściwie nie wierzyła w duchy, ale nie potrafiła się pozbyć

wrażenia, że ta zmarła kobieta nadal gdzieś tu jest. Możliwe, że sprawiła to nieszczęsna fotografia. Może teraz uda jej się rozluźnić i zapomnieć o Cynthii Kenyon.

Pionowe żaluzje na szklanych drzwiach do ogrodu zadrżały.

Rebecca podniosła głowę i oceniła odległość między żaluzjami a klimatyzatorem. Wydeła usta i potrząsnęła głową.

Nie. Nie wierzyła w duchy.

Jeszcze raz zatrzymała wzrok na komodzie, na miejscu, w którym poprzednio stała fotografia Cynthii.

- To nasz początek, Zach. Bardzo dobry początek.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

- Tak się cieszę, że już wróciłeś, Zach - powiedziała Rebecca. - Sam dzwonił. Twoja siostra zaczęła rodzić.

Na twarzy Zacha pojawił się grymas. Było oczywiste, że cieszy się wraz z Samem i Callen, ale wiadomość o narodzinach trzeciego dziecka Longstreetów przypomniła mu także o tym, że po sześciu miesiącach małżeństwa jego żona wciąż jeszcze nie była w ciąży.

- Przykro mi, Zach.
- Dlaczego?
- Wiesz, dlaczego.
- Na to trzeba trochę czasu.
- Połowa wyznaczonego mi czasu już minęła.
- Nie musisz mi o tym przypominać. - Zach zsunął kapelusz z głowy i przeciągnął dłonią po włosach. - Jak tam nasz nowy pracownik?

Rebecca zauważyła, że Zach zręcznie zmienił temat. Ona także doszła do wniosku, że może lepiej nie rozmawiać o tym, czego i tak nie da się zmienić.

- Campbell świetnie sobie radzi. Dobrze wie, że te dzieci są chore, i zwraca uwagę na wszystko, co mogłoby przysporzyć nam problemów. Campbell był wyleczonym alkoholikiem, który nigdzie w okolicy nie mógł znaleźć pracy. Miał na utrzymaniu żonę i sześcioro dzieci. Nikt, włącznie z Zachem, nie chciał mu zaufać, gdyż już

wielokrotnie zawiódł. Rebecca jednak nie potrafiła się oprzeć, gdy przyszedł prosić ją o pracę.

- Zach, on już nie pije - przekonywała męża. - A gdy pomyślę o tych jego głodnych dzieciach...

Zach wiedział, że nie zwycięży w tej sprzeczce, ale nie chciał poddać się od razu, bo podobały mu się metody, jakich Rebecca używała, by go przekonać.

- Dobrze - powiedział wreszcie. - Ale dam Campbellowi tylko jedną szansę. Jeśli choć raz zauważę, że jest pijany, może się stąd zabierać.

Jak dotychczas Campbell pozostawał trzeźwy jak pastor baptystów w kraju objętym prohibicją.

- Przynajmniej to się nam udało - skomentował Zach.

- Tak. - Nawet, jeśli ich małżeństwo się rozpadnie.

Zach dotrzymał słowa i pomagał żonie w prowadzeniu obozu, ale starał się nie zawierać bliższej znajomości z żadnym z dzieci. Zachowywał się uprzejmie i życzliwie, bronił się jednak przed cierpieniem, zamykając się na wszelką bliskość uczuciową. Niezupełnie o to chodziło Rebecce, gdy wymogła na nim, by dotrzymał słowa i pracował z nią do końca lata. Jeszcze jeden tydzień i obóz Mały Sokół zostanie zamknięty aż do przyszłego roku. Rebecca nie miała już nadziei, że Zach zmieni się w ciągu tych siedmiu dni.

Co gorsza, dotychczas nie udało jej się zajść w ciążę. W większości małżeństw nedorzecznnością byłoby martwić się o to zaledwie w pół roku po ślubie. Rebecca jednak miała tylko rok na

poczęcie dziecka i martwiła się, że czas ucieka.

- Zach, chyba powinnam pójść do lekarza. To w każdym razie uspokoiłoby nas obydwójce.

- To pomysł bez sensu. Rebecca potrząsnęła głową.

- Obydwójce wiemy, że z tobą jest wszystko w porządku, W końcu Cynthia... Ty na pewno możesz mieć dziecko - dokończyła szybko. - Może coś jest nie tak ze mną. A jeśli mam jakąś wadę, której żaden lekarz nie zauważył podczas regularnych badań?

Zach przymknął oczy. Jak miał jej powiedzieć, że to może być jego wina? Czy potrafiłby wyjaśnić Rebecce, że ojcem dziecka, które nosiła Cynthia, mógł być inny mężczyzna? Nie było sensu narażać jej na skomplikowane badania, jeśli to on był bezpłodny. Może jednak nie? Chyba lepiej będzie najpierw sprawdzić stan zdrowia Rebeki, a potem dopiero zająć się własnym.

- Dobrze - powiedział wreszcie.

Ramiona Rebeki opadły. Zach poczuł, że coś go ściska w gardle. Nie mógł pozwolić, by przechodziła przez to sama, skoro wina mogła leżeć po jego stronie.

- Zbadamy się oboje.

- Co takiego?

- Powiedziałem, że obydwójce pójdziemy do lekarza.

- Przecież ty...- Cynthia powiedziała mi, że to moje dziecko. Ale nie mam żadnej pewności, że tak było.

Popatrzyła na niego z niedowierzaniem.

- Jak to...

- W dniu, gdy zginęła, znalazłem ją w łóżku z innym mężczyzną.
- Ale...
- Dlatego obydwójce pójdziemy do lekarza, Rebecca nie odważyła się zadać żadnego z tysiąca pytań, jakie cisnęły się jej na usta.

Powstrzymał ją przed tym wyraz twarzy Zacha.

- Może uda nam się porozmawiać z lekarzem, gdy pójdziemy do szpitala i będziemy czekać, aż Callen urodzi - zaproponował Zach.

- Dobrze.

Podczas jazdy do szpitala Rebecca nie mogła oderwać oczu od twarzy Zacha. Oszukał wszystkich! Swoich rodziców, rodziców Cynthii, własne rodzeństwo. .. Nawet ona sama wierzyła, że jej mąż przez te wszystkie lata opłakiwał śmierć narzeczonej. Ale czy mężczyzna opłakiwałby śmierć kobiety, która nie była mu wierna? Czy cierpiałby z powodu zgonu kobiety noszącej dziecko, które być może nie było jego?

Skoro nie kochał Cynthii, cóż takiego powstrzymywało go przed miłością?

Rebecca przygryzła mocno usta. Zach na pewno czuł się zraniony, upokorzony przez zdradę narzeczonej. Mało prawdopodobne, by jakikolwiek mężczyzna pogodził się w tej sytuacji z niewiernością narzeczonej. Dlaczego więc zatrzymał zdjęcie Cynthii i postawił je w miejscu, gdzie mógł na nie codziennie spoglądać?

Aby mu przypominało... o jej zdradzie.

Odchyliła się na oparcie fotela i przymknęła oczy. Czuła się jak idiotka. Przez cały czas wierzyła, że Zach nadal kochał Cynthię,

tymczasem on po prostu pielęgnował swoją nienawiść. Cynthia pozostawiła po sobie wielką ranę w jego sercu. Zach nigdy już nie pokocha żadnej kobiety, gdyż za pierwszym razem za bardzo się sparzył. Dlatego właśnie na zawsze wyrzekł się uczuć i dlatego odsunął się od Pete'a, gdy ten za bardzo się do niego zbliżył. Bał się znów przeżywać cierpienie.

Zach zauważył łzę spływającą po policzku Rebeki. Wyciągnął rękę i otarł ją. Rebecca przytuliła twarz do jego dłoni.

- Wiem, że musi ci być ciężko widzieć Callen w takiej chwili. Szczególnie, że ty... że my... Ale ona na pewno chce, żebyśmy tam byli. Nie zrozumiałaby, dlaczego dla nas jest to bolesne...

- Och, Zach, jesteś cudowny i taki głupi...

- Chyba nie musimy tam jechać, ale... Przytuliła się do męża i otoczyła go ramieniem.

- Wszystko w porządku - powiedziała. - Powinniśmy tam być.

- Jesteś pewna?

- Tak.

W drzwiach szpitala Rebecca wstrzymała oddech. Nie dało się jednak uciec od zapachu środków dezynfekujących, który przenikał wszystkie pomieszczenia. Nigdy nie udało jej się przyzwyczaić do tego zapachu. Teraz przywodził jej na myśl wspomnienia o dzieciach, którymi się opiekowała, a które wróciły do domu całe i zdrowe, a także o tych, które nie wróciły w ogóle.

Zielonooka pielęgniarka prowadziła ich wąskim, pomalowanym na zielono korytarzem - dlaczego ściany w szpitalach zawsze są zielone

albo beżowe?

- Ogarniają cię wspomnienia? - zapytał Zach. Uśmiechnęła się, wzruszona jego spostrzegawczością.

- Owszem.

- Żałujesz, że odeszłaś ze szpitala? Potrząsnęła głową.

- O wiele bardziej podoba mi się to, co robię teraz.

- Na pewno to lepsze niż oglądać te chore dzieci w łózkach - zgodził się Zach. Pociągnął ją za rękę do zatłoczonej windy. Spojrzała na niego chmurnie, ale nie chciała się wdawać w sprzeczkę w obecności obcych.

Zach mocno ścisnął jej dłoń, chcąc rozładować własne zdenerwowanie. Ze wszystkich sił pragnął mieć dziecko. Chciał widzieć narodziny nowego człowieka... Pragnął cieszyć się wraz ze swą siostrą i szwagrem, ale zżerała go zazdrość tak mocna, że czuł ucisk w żołądku.

Było mu niezmiernie trudno patrzeć na uszczęśliwione twarze Sama i Callen. Dręczyła go świadomość, że sam na razie nie może mieć dziecka. Cierpiał, trzymając nowo narodzone maleństwo w ramionach, dotykając miękkiej skóry, patrząc na maleńkie paluszki i rząsy i przez cały czas mając świadomość, że ono nie jest jego.

Najgorszy był jednak zachwyty, który pojawił się na twarzy Rebeki, gdy wzięła niemowlę w ramiona. Noworodek instynktownie odnalazł jej pierś. Rebecca zarumieniła się z zażenowaniem i dotknęła jego policzka czubkiem palca. Podniosła głowę i spojrzała prosto na Zacha. Żadne z nich nie odezwało się ani słowem, ale ta wymiana

spojrzeń była bardzo wymowna.

Zach poczuł ucisk w piersiach. Na widok spojrzenia Rebeki zrobiło mu się gorąco. Nigdy nie wspominała o miłości, ani jazu w ciągu trwania ich małżeństwa, chyba dlatego, by jej nie wyśmiał. Czy mógł się teraz mylić, co do tego, co ujrzał w jej wzroku? Czyżby zależało mu na tym, by Rebecca go kochała? A może dlatego wyobraził sobie uczucie tam, gdzie go wcale nie było?

Wyciągnął rękę, ujął jej dłoń i uściśnął mocno.

- Musimy już iść - powiedział.
- Zostańcie jeszcze przez chwilę - nalegała jego siostra.
- Jutro przyjeżdża następna grupa dzieci. To nasz ostatni turnus - wyjaśniła Rebecca.

- Powinnam wrócić do domu za kilka dni. Obiecujcie, że nas odwiedzicie - rzekła Callen.

- Odwiedzimy - przyrzekł Zach.
- Słowo?
- Słowo.

Zacisnął dłoń na przegubie ręki Rebeki i niemal siłą wyciągnął ją z sali. Sam nie wiedział, dokąd ją prowadzi, ale po chwili znaleźli się przed drzwiami gabinetu lekarskiego na pierwszym piętrze.

Doktor Elmo Bently. Specjalista chorób wewnętrznych i ginekologii.

Zach zatrzymał się i spojrzał na Rebecę.

- Zach, nie musimy tam iść teraz.
- Chyba tak będzie lepiej.

Zapukał, otworzył drzwi i wciągnął Rebeccę do środka.

- Co was tu sprowadza? - zapytał doktor Bently.
- Chcielibyśmy się zbadać. Lekarz uniósł brwi.
- Czy coś się stało? Któreś z was jest chore?
- Chodzi nam o testy płodności - wyjaśnił Zach z sercem bijącym

jak oszalałe.

Lekarz zmarszczył czoło.

- Czy macie jakieś powody do przypuszczeń, że któreś z was jest bezpłodne?

- Tylko to, że moja żona dotychczas nie zaszła w ciążę. I nie dlatego, żebyśmy nie próbowali - wykrztusił Zach.

Lekarz zaśmiał się.

- Usiądźcie, proszę. Myślę, że musimy porozmawiać.

Zadał im kilka pytań.

- Jeśli chcecie, mogę przeprowadzić wstępne badania - rzekł w końcu. - Ale wydaje mi się, że jest jeszcze za wcześnie na obawy. Możliwe, że kochacie się za często. Ciało potrzebuje trochę czasu, by się zregenerować. Jeśli wytryski następują zbyt szybko jeden po drugim, sperma może być mniej wartościowa. Spróbujcie się kochać co drugi dzień. Zobaczymy, czy to wam pomoże.

Rebecca poruszyła się na krześle, nieco zażenowana otwartością lekarza, ale jego słowa trochę ją pocieszyły. Zerknęła na Zacha, by sprawdzić jego reakcję.

- Dobrze, panie doktorze, możemy to robić rzadziej. Ale mimo wszystko chciałbym, żebyśmy obydwójce zostali poddani dokładnym

badaniom. Na kiedy możemy się umówić?

- Może pan od razu zostawić próbkę spermy, a z pańską żoną umówię się za parę dni.

Zach najwyraźniej nie spodziewał się czegoś takiego.

- Im szybciej, tym lepiej - mruknął. Pielęgniarka zabrała Zacha do innej części szpitala.

Rebecca wyszła na korytarz. Gdy Zach nie wracał przez dłuższą chwilę, znalazła nowoczesne centrum informacji komputerowej i zaczęła przeglądać listę wszystkich oddziałów. Jeden z nich przyciągnął jej uwagę.

Pediatrya.

Pojechała windą na drugie piętro i bez wahania skręciła w stronę stanowiska pielęgniarek. Dokładnie wiedziała, czego szuka, i znalazła to o kilka drzwi dalej.

Sala była niewielka, może dlatego, że cały szpital był niewielki. Stało tu osiem łóżek, a w każdym z nich leżało chore dziecko. Rebecca zawahała się przez chwilę i weszła do środka. Jej wzrok przyciągnęła mniej więcej pięcioletnia dziewczynka. Prawą rękę miała w gipsie, a zabandażowana prawa noga spoczywała na wyciągu. Twarz dziecka pocięta była drobnymi zadrapaniami. Wyglądało na to, że wypadła przez przednią szybę samochodu. Nie spała. Oczy miała otwarte i nieruchomo wpatrywała się w sufit.

- Cześć - powiedziała Rebecca. Dziewczynka zwróciła na nią duże brązowe oczy, ale nie odezwała się.

- Mam na imię Rebecca, a ty?

- Jewel.
- Czy mogę usiąść, Jewel? Dziewczynka skinęła głową.
- Jak się czujesz?
- Czy pani jest lekarzem?

Rebecca z uśmiechem potrząsnęła głową.

- Nie.

Dziewczynka odetchnęła z ulgą.

- To dobrze. Bo mam już dość lekarzy.
- Widziałaś ich zbyt wielu?
- Tak.
- Gdybyś mogła się teraz znaleźć tam, gdzie tylko zapragniesz, to jakie miejsce byś wybrała?

- Dom.

Rebecca poczuła pieczenie oczu i wiedziała, że za chwilę się rozplacze. Szybko zamrugła powiekami. Spodziewała się raczej, że usłyszy „Disneyland”. Jak długo to dziecko tu leży?

- Od jak dawna jesteś w szpitalu, Jewel?
- Od dawna.
- Na pewno mama i tato często cię odwiedzają.
- Moja mama i tato nie żyją.

Rebecca odgarnęła kosmyk prostych, brązowych włosów z czoła dziewczynki, próbując jednocześnie rozluźnić zaciśnięte gardło.

- Tak mi przykro, Jewel.
- Miałam brata, ale on też zginął. Ja byłam tylko ciężko ranna. - Jej oczy napęłniły się łzami. Jedna z nich spłynęła po wychudzonym

policzku.

- Jestem pewna, że jest na tym świecie ktoś, kto chciałby, żeby taka miła dziewczynka z nim zamieszkała. Twoja babcia i dziadek? Albo wujek i ciocia?

Mała ze smutkiem potrząsnęła głową.

- Nie mam dokąd pójść. Gdy wyzdrowieję, zabiorą mnie do sierocińca, tak to się chyba nazywa.

- Do domu dziecka - poprawiła ją Rebecca. Wzrok dziewczynki przesunął się i utkwił gdzieś ponad jej ramieniem. Rebecca obróciła się i zobaczyła, że w progu sali stoi Zach.

- Zastanawiałem się, gdzie jesteś. Zgadłem.

- Zajrzałam tu tylko na chwilę - wyjaśniła.

- Kim jest twoja przyjaciółka?

- Jewel, to jest Zach. Zach, to jest Jewel. Właśnie moja nowa przyjaciółka mówiła mi, że gdy wyzdrowieje, pójdzie do domu dziecka.

Mała i mężczyzna wymienili ceremonialny uścisk dłoni.

- Miło mi cię poznać, Jewel.

- Dzień dobry. Czy pan jest lekarzem? Zach uśmiechnął się.

- Nie. Jestem ranczerem.

- A czy ma pan na swoim ranczu konie?

- Mam dużo koni i kucyków.

- Ja też kiedyś miałam kucyka. Mój tato... mój tato... -

Dziewczynka odwróciła twarz i wpatrzyła się w ścianę.

Rebecca delikatnie dotknęła jej ramienia.

- Mam nadzieję, Jewel, że szybko wyzdrowiejesz. Gdyby Zach nie pociągnął jej za rękę, nie byłaby w stanie odejść od łóżka dziecka o własnych siłach.

Gdy już znaleźli się za drzwiami i nie było ich słychać z sali, Rebecca zwróciła się do Zacha z błagalnym wyrazem twarzy.

- Zach?

- Wiem, o czym myślisz, i od razu mówię: nie.

- Ona nie ma gdzie się podziać. Za tydzień obóz zostanie zamknięty aż do przyszłego roku. Nie musimy jej brać na zawsze. Dom dziecka jest tylko etapem pośrednim, aż do czasu, gdy pojawi się ktoś, kto zechce ją zaadoptować.

- Nie.

- Ona przecież nie jest chora, tylko była ranna w wypadku. Już prawie wyzdrowiała. Odzyska zdrowie na pewno.

- Nie.

- Jest zupełnie sama na świecie, nie ma żadnych krewnych, nikogo. Nie możemy odwrócić się do niej plecami.

Zach westchnął głęboko.

- Na pewno trzeba wypełnić tonę rozmaitych formularzy, żeby się zakwalifikować jako rodzina zastępcza.

Rebecca rozpromieniła się.

- Och, dziękuję ci, Zach. Dziękuję. Nie będziesz tego żałował, obiecuję.

- Jeszcze się nie zgodziłem.

- Ale przestałeś mówić; nie.

- Jesteś niemożliwa - zaśmiał się.

- I za to mnie kochasz - odparowała, posyłając mu kokietyjne spojrzenie spod rzęs. Naraz uświadomiła sobie, co powiedziała, i szybko zapytała; - Jak poszły testy?

Zach starannie unikał jej spojrzenia.

- Robiłem to po raz pierwszy od czasu, gdy byłem nastolatkiem - wymamrotał.

Rebecca nie potrafiła powstrzymać chichotu. Zach podniósł ją do góry i mocno uściskał.

- Nie śmiej się. Twoja kolej też nadejdzie. Obydwoje spowaźnieli.

- Możesz sprawdzić, czy nadajemy się na rodzinę zastępczą dla Jewel. Ale na pewno rozumiesz, że to tylko na jakiś czas. Gdybym chciał zaadoptować dziecko, mógłbym to zrobić już dawno. Nie przywiązuj się do niej za bardzo.

Ujął ją za podbródek i zjrzał głęboko w jej oczy.

- Rozumiesz?

- Potrafię zaopiekować się Jewel, nie przywiązując się do niej zanadto. Udowodniłam to, pracując jako pielęgniarka. Nie musisz się o mnie martwić. Otoczył ją ramieniem i oboje ruszyli w stronę windy.

- Czy myślisz, że pozwolą nam ją zabrać? - zastanawiała się Rebecca.

- Myślę, że mamy na to duże szanse.

- Dlaczego tak uważasz?

- Znam kobietę, która zajmuje się tymi sprawami. Ma u mnie

dług wdzięczności za coś, co dla niej zrobiłem w szkole średniej.

Rebecca zerknęła na niego podejrzliwie.

- A co dla niej zrobiłeś?

- Lepiej nie będę ci tego opowiadał - uśmiechnął się Zach. -

Niech ci wystarczy świadomość, że jeśli chcesz się zaopiekować Jewel, zrobię, co będę mógł, by ci to umożliwić.

Tyle przynajmniej był w stanie uczynić. W końcu po raz pierwszy zdarzyło się, że zapytała go o zdanie, zanim zdecydowała się komuś pomóc. Poza tym miał własne, zupełnie egoistyczne powody, by tymczasowo przygarnąć bezdomną sierotę.

Przekonał się, oczywiście przypadkiem, że jego własne zadowolenie z życia w coraz większym stopniu było zależne od szczęścia Rebeki. Gdy ona była smutna, jego także opanowywało przygnębienie. Gdy była szczęśliwa, czuł się dobrze.

Wpatrzył się w jej rozpromienioną twarz i uśmiechnął się.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Żadne z nich nie miało fizycznych wad, które uniemożliwiałyby spłodzenie dziecka. Takie były oficjalne wyniki badań przeprowadzonych przez doktora Bently'ego. Ale minął kolejny miesiąc, a Rebecca nadal nie była w ciąży. Bogu dzięki, przed przybyciem Jewel na ranczo było mnóstwo rzeczy do załatwienia. Nie miała czasu martwić się o nic innego.

Codziennie odwiedzała Jewel w szpitalu. Kilka razy zabrała ze sobą Zacha, tłumacząc mu, że dziewczynce będzie łatwiej przyzwyczać się do życia na Sokolim Wzgórzu, jeśli wcześniej dobrze pozna ich obydwójce.

Zach mruczał coś pod nosem, ale pojechał z nią. I okazało się, że kontakty z dzieckiem nie sprawiają mu żadnych trudności. Prawdę mówiąc, zaprzyjaźnili się tak bardzo, że gdy ze sobą rozmawiali, trudno było wtrącić choć słowo. Rebecca była kompletnie zaskoczona.

- Mam duże doświadczenie - wyjaśniał ze śmiechem, gdy patrzyła na niego ze zdumieniem. - Zapominasz, że mam trzy siostrzenice. Córka Falcona, Suzanna, przyjeżdża tu każdego lata w odwiedziny do dziadków, więc często się z nią widuję. Spędziłem także trochę czasu z bliźniaczkami Callen i Sama.

Rebecca uniosła brwi.

- Jeśli cię to ciekawi, to owszem, przyznaję, że umiem zmieniać pieluchy i wiem, co się robi z dziecięcą zasypką. Wujek Zach potrafi

też bawić się w samolot, konia i motorówkę.

Rebecca wybuchnęła śmiechem, ale po chwili napotkała jego wzrok i natychmiast spochmurniała. Pragnęła, by mógł wykorzystać wszystkie te umiejętności przy własnym dziecku. Pragnęła usłyszeć cieniutki głosik nazywający go tatą, chciała widzieć Zacha biegnącego na czworakach po salonie, być wtedy razem z nim i śmiać się wspólnie.

Z wysiłkiem oderwała wzrok od twarzy męża. Malujący się na niej wyraz melancholii i tęsknoty był dla niej zbyt bolesny.

Podczas tych odwiedzin w szpitalu zauważyła coś jeszcze. Gdy Jewel prosiła o coś Zacha, wpatrując się w niego wielkimi brązowymi oczami, ten miękł jak wosk. Zdążył już obiecać, że da małej kucyka i nauczy ją jeździć, gdy tylko trochę wyzdrowieje.

Podczas jednej z wizyt Rebecca uświadomiła sobie, że na nowo zakochuje się w swym mężu. A może tak naprawdę zaczynała go kochać po raz pierwszy. Jej uczucie do niego było teraz inne, mocniejsze i stabilniejsze niż przez wszystkie poprzednie lata. Choć zawsze wiedziała bez żadnych wątpliwości, że kocha Zacha, to w dniu, gdy za niego wychodziła, nie miała jeszcze pojęcia, jak głębokim uczuciem kobieta może darzyć mężczyznę, który uszczęśliwia ją swym ciałem. Wtedy jeszcze nie знаła namiętności doświadczanej w ramionach chętnego i umiejętnego kochanka, ani nie wiedziała, jaki szacunek wzbudzi w niej uprzejmość, troskliwość i szczodrość Zacha.

Ale to wszystko było niczym wobec głębi uczuć, jakie w niej wzbudziła bliskość Zacha i Jewel. Teraz bardziej niż kiedykolwiek Rebecca pragnęła dać mu dziecko. Jej miłość była jak naczynie,

poprzednio do połowy puste, które teraz napełniło się aż po brzegi.

Jednak najważniejszy problem w ich małżeństwie pozostawał nie rozwiązany.

Zach jej nie kochał. Rozwiedzie się z nią, jeśli nie urodzi mu dziecka.

Wiedziała, że jeśli będzie o tym myśleć zbyt wiele, to zwariuje. Lepiej żyć chwilą obecną i cieszyć się każdym dniem wspólnego życia.

Nadszedł wreszcie dzień, gdy mieli odebrać Jewel ze szpitala. Przy śniadaniu Rebecca przypomniała Zachowi, żeby wrócił wcześniej. Od południa chodziła po kuchni niespokojnie jak tygrysica, czekając na niego.

W końcu usłyszała skrzypnięcie drzwi.

- Chyba się nie spóźniłem? - zapytał Zach, stając na progu i patrząc na nią z niepokojem.

Rebecca zerknęła na zegarek.

- Nie. Po prostu jestem trochę zdenerwowana,

- Ty? Zdenerwowana? Widziałem, jak z uśmiechem na twarzy radziłaś sobie z tuzinem chorych dzieci. A to jest tylko jedna dziewczynka.

- Ale ona będzie nasza. Zach zacisnął usta w napięciu.

- To niezupełnie prawda. Mamy się nią zaopiekować tylko na jakiś czas.

Rebecca uniosła głowę.

- Może masz rację. Ale dopóki będzie mieszkać w tym domu, to my będziemy pełnić rolę jej rodziców. O to przede wszystkim chodzi.

Myslałam, że zdecydowałaś się zapewnić Jewel dom tutaj, na Sokolim Wzgórzu. Jeśli nie, może lepiej w ogóle jej tu nie przywozić.

- Lubię to dziecko - próbował ułagodzić żonę Zach. - Jak na swój wiek, ma bardzo silny charakter. Ale nie chcę wzbudzać fałszywych nadziei ani w tobie, ani w niej. Ona nie zostanie tu na zawsze.

- Jewel wie o tym. Rozumie, że przywozimy ją tu tylko na jakiś czas, dopóki nie znajdzie się ktoś, kto ją zaadoptuje.

- Biedne dziecko - mruknął Zach. Rebecca oparła głowę na jego ramieniu.

- Ona sobie poradzi, Zach.

- Lepiej już jedźmy. Będzie się martwiła, jeśli się spóźnimy.

Jewel siedziała na skraju łóżka z dłońmi wciśniętymi między kościste kolana, które wystawały spod krótkiej spódniczki w kratę. Na widok Rebeki i Zacha jej twarz rozświetliła się radością.

- Becca! Zach!

Zeskoczyła z łóżka i pokuśtykała w ich stronę. Jej ruchy były niezgrabne, gdyż utykała nieco na prawą nogę. Kość po wypadku była złamana w wielu miejscach i nie zrosła się zupełnie dobrze. Jewel już zawsze miała leciutko utykać.

Dziewczynka szybko pocałowała Rebeccę, po czym rzuciła się na szyję Zacha. Nie miał wyboru; musiał wziąć ją na rękę i przycisnąć do piersi. Podniósł małą i przytulił tak mocno, aż pisnęła. Nie miała już na twarzy szwów; pozostały jedynie delikatne różowe blizny. One też miały zniknąć za jakiś czas. Zach zastanawiał się, dlaczego rodzice dziewczynki nadali jej takie właśnie imię. Jewel, czyli klejnot. Jej oczy

nie miały koloru topazu, szafiru czy szmaragdu. Były zwyczajnie brązowe jak błotnista kałuża.

- Jesteś gotowa? - zapytał.

- Jasne! Czy możemy pojeździć konno dzisiaj po południu?

- Nie ma mowy! Najpierw musisz się zadomowić.

- A potem pojeździmy? - nie ustępowała dziewczynka.

- Dobrze, uparciuchu - zaśmiał się Zach. - Pojeździmy dzisiaj po południu.

- Juhuu!

Rebecca teraz zrozumiała, dlaczego Zach tak bardzo pragnął mieć dziecko. Bardzo dobrze nadawał się na ojca. Znakomicie porozumiewał się z Jewel i dziecko czuło się przy nim zupełnie swobodnie.

Nadal siedząc na rękach Zacha, Jewel obróciła się do Rebeki i zapytała:

- Czy naprawdę będę miała pokój z przesuwanymi szklanymi drzwiami? W naszym domu takich nie było. Rebecca wsunęła dziecko na specjalny fotelik umieszczony pośrodku przedniego siedzenia pikapu i zapięła pas.

- Nie mogę się już doczekać, żeby zobaczyć tego psa z postrzępionymi uszami - trajkotała Jewel. - My też mieliśmy psa, ale uciekł i zginął. Zawsze chciałam mieć kotka, ale mój tato miał alergię na koty.

Gadała bez ustanku. Rebecca szybko uświadomiła sobie, że dziecko jest równie zdenerwowane jak ona sama. Z całej trójki Zach

zachowywał najwięcej spokoju.

Ale nawet on nie był zupełnie odporny na to, co się działo. Rebecca zauważyła, że rzucał szybkie spojrzenia na Jewel, gdy sądził, że dziecko tego nie widzi. Wydawał się zaintrygowany i oczarowany żywiołowością dziewczynki. Rebecca poczuła coś w rodzaju ukłucia zazdrości. Dałaby wszystko, by Zach choć raz spojrział tak na nią.

W gruncie rzeczy Zach porównywał w myślach upór Jewel z determinacją Rebeki, która zawsze maszerowała w takt własnego werbla. Obydwie - dziewczynka i kobieta - miały bardzo podobne temperamenty. Może to właśnie w pierwszej chwili przyciągnęło Rebecę do Jewel. Z pewnością znalazła w niej bratnią duszę.

Gdy dotarli do domu, Jewel szybko przebrała się w dżinsy i wysokie buty i zażądała, by zaprowadzone ją do stajni. Tam z kolei uparła się, by wszyscy troje wybrali się na przejażdżkę.

- Mam kilka rzeczy do zrobienia - próbowała się wykręcić Rebecca.

- Ale musisz pojechać! Bardzo cię proszę!

- No dobrze. - Rebecca przesunęła dłonią po potarganych brązowych włosach. - Ale nie wyobrażaj sobie, że zawsze uda ci się dostać to, czego zechcesz, jeśli się tylko uśmiechniesz.

- Przyganiał kocioł garnkowi - mruknął Zach pod nosem. Rozbawiło go to, że Jewel oplotła sobie Rebecę wokół małego paluszka tak samo jak Rebecca jego.

Ale nie przewidział jednego: tego, że sam okaże się zupełnie bezradny, gdy obie kobiety przypuszczą na niego zmasowany atak.

- Chyba powinniśmy pojechać węższą ścieżką - powiedziała Rebecca, gdy zbliżyli się do kanionu.
- Czy to nie będzie zbyt niebezpieczne? Szczególnie przy pierwszej przejażdżce? - zaniepokoił się Zach.
- Obserwowałam Jewel. Świetnie sobie radzi - odrzekła. - Wąska ścieżka jest ciekawsza.
- Możemy tędy pojechać? - zapytała Jewel z podnieceniem. - Pięknie proszę!

Zach spojrział w dwie pary oczu, w których malowało się błaganie. Jedne były zielone, drugie brązowe. Po chwili poddał się.

- Tylko jedźcie powoli i ostrożnie. Nie chciałbym, żeby któraś z was miała kłopoty.

Musiał przyznać, że wąska, zygzakowata ścieżka prowadząca w głąb kanionu rzeczywiście była o wiele ciekawsza. Jewel była nią zachwycona. Dotarli do piaszczystego dna kanionu i urządzili sobie piknik. Jedli kanapki z szynką, chipsy ziemniaczane i pili napoje, które Rebecca przywiozła ze sobą.

Rebecca patrzyła na Jewel. Dziewczynka odruchowo podała Zachowi torbę z chipsami, by je otworzył. Po chwili zrobiła to samo z puszką coli. Mała uznawała za naturalne, że Zach jej pomaga. Rebecca ukryła uśmiech, gdy Jewel starła serwetką odrobinę musztardy z twarzy Zacha.

- Dziękuję - powiedział.
- Proszę bardzo - odrzekła dziewczynka.

Gdy z kolei Rebecca pobrudziła się musztardą, Zach, oczywiście,

nie użył serwetki, lecz po prostu pochylił się i pocałował to miejsce.

Po chwili puścił ją, zarumienioną. Rebecca nie miała odwagi spojrzeć na twarz Jewel, ale, ku jej irytacji, Zach mrugnął do małej i powiedział:

- To była najsmaczniejsza musztarda, jaką kiedykolwiek jadłem. Jewel wybuchnęła śmiechem. Rebecca poddała się, wtórując jej.

Po jedzeniu dziewczynka stała się senna. Ułożyła się na kocu i zapadła w drzemkę. Ledwo zamknęła oczy, Zach chwycił Rebecę w ramiona i pocałował. Bawił się jej ustami, skubał dolną wargę, drażnił językiem kącik ust. Nakrył dłonią jej pierś i kciukiem przesunął po czubku, wyczuwając jego natychmiastowe napięcie.

- Zach, co ty robisz? - zapytała Rebecca.
- Czy mężczyzna nie może się kochać z własną żoną?
- Nie, jeśli o kilka metrów dalej śpi dziecko - szepnęła, usiłując powstrzymać jego wędrujące dłonie.

Nie tak łatwo jednak było odwieść Zacha od jego zamiarów. Jego dłoń wślizgnęła się między jej nogi. Rebecca nigdy jeszcze nie widziała go tak rozbawionego. Miała wrażenie, że jakiś młodszy i bardziej radosny mężczyzna zajął miejsce dotychczasowego Zacha. Zastanawiała się, co spowodowało tę zmianę, ale obawiała się zapytać, by nie zepsuć piękna tej chwili.

Przytulił twarz do jej szyi i wyszeptał:

- Wiedziałem, że dobrze zrobiłem, żeniąc się z tobą.
- Doprawdy? - zapytała z zaskoczeniem. - A dlaczego?
- Bardzo mnie pociąga twoje ciało.

Z ust Rebeki wyrwał się stłumiony śmiech.

- I będziesz cudowną matką.

Śmiech zamarł. Rebecca spojrzała mu prosto w oczy.

- Naprawdę tak myślisz?

- Tak. Masz wielkie serce. Udowodniłaś to, martwiąc się losem wszystkich bezdomnych i nieszczęśliwych istot, które przyprowadziłaś do naszego domu w ciągu ostatnich siedmiu miesięcy. Będziesz znakomitą matką.

- Zach... a jeśli nie zajdę w ciążę? Jeśli nie... Delikatnie dotknął palcami jej ust.

- Nie martw się. Jesteśmy na pikniku.

Położył ją na kocu i przylgnął biodrami do jej ud. Oparł się na łokciach i ujął jej twarz drżącymi dłońmi. Całował ją bardzo delikatnie, czując niezwykłą przyjemność, pozwalając, by owa przyjemność narastała powoli, lecz w stałym tempie.

Rebecca starała sienie jęczeć, obawiała się bowiem, by nie obudzić Jewel. Zach drażnił ją i prowokował, aż zaczęła się niespokojnie poruszać pod jego ciężarem. Chciała go prosić, by przestał, gdyż obydwójce wiedzieli, że nie mogą się tu kochać. Ale było jej zbyt przyjemnie, by to przerywać.

Gdy usłyszeli, że Jewel zaczyna się poruszać, Zach po raz ostatni przygryzł koniuszek jej ucha i wyszeptał:

- Wieczorem.

Było to jednocześnie zaproszenie i obietnica.

- Wieczorem - odszepnęła.

Oczywiście żadne z nich nie wzięło pod uwagę tego, że Jewel rozboli ucho.

Położyli ją spać, ale ledwie wsunęli się pod kołdrę, usłyszeli pukanie do drzwi sypialni. Zach pochwycił dzinsy. Po chwili zauważył, że wciąga je tyłem naprzód, i zaklął. Rebecca narzuciła na ramiona szlafrok i otworzyła drzwi.

Na progu stała Jewel w bawełnianej nocnej koszuli. Głowę miała przechyloną na bok, a lewe ucho przyciśnięte do ramienia.

- Co się stało?

- Ucho mnie boli.

Rebecca przyklękła na jedno kolano i przyłożyła dłoń do czoła dziecka.

- Chyba ma gorączkę.

Zach zadzwonił do doktora Stephensa, rodzinnego lekarza Whitelawów, i przez telefon odebrał od niego instrukcje, które powtórzył Rebecce.

- Doktor Stephens powiedział, że jeśli ból nie minie za kilka godzin albo jeśli temperatura się podniesie, będziemy musieli zabrać ją do ambulatorium - wyjaśnił, układając Jewel w łóżku.

- Posiedzę z nią tutaj - odrzekła Rebecca. - Ty wracaj do sypialni.

Zach czuł się nieswojo, pozostawiając Rebecce z dzieckiem, ale w gruncie rzeczy nie mógł nic zrobić.

- Zajrzę tu za chwilę - obiecał.

Idąc korytarzem do sypialni słyszał głos Rebeki, która cicho

czytała dziewczynce „Kubusia Puchatka”.

Leżał w łóżku, samotnie i bezsennie, i nie miał nic do roboty oprócz myślenia. Cała pościel przesycona była zapachem perfum Rebeki. Zach poczuł się podniecony. Z trudem opanował fizyczne pragnienie. Niewielkie miał szanse zaspokojenia go w najbliższej przyszłości.

- Chyba po raz pierwszy doświadczyliśmy na własnej skórze, co oznacza bycie rodzicami - powiedział na głos. Zdziwiło go to, że nie czuł żadnej irytacji. Pewnie zadziałał tu instynkt, potrzeba podtrzymania gatunku, która sprawiała, że rodzice podporządkowywali swoje potrzeby i pragnienia bezbronnemu dziecku. Zdziwiony był odkryciem, że czuł tę pierwotną potrzebę, by chronić Jewel, choć nie była ona jego własnym dzieckiem.- Matka Natura jest bardzo chytra - powiedział głośno. Uświadomił sobie, że mówi do siebie, i umilkł.

Ale nie przestał myśleć.

Wrócił wspomnieniami do ostatniego popołudnia. Sam nie wiedział, dlaczego opanował go tak beztroski nastrój. Dopiero teraz uświadomił sobie, że przez cały dzień ani razu nie pomyślał o Cynthii. To było coś nowego. Ból i upokorzenie z przeszłości wydawały się teraz niezmiernie odległe. Przy Rebecce życie stawało się proste. Tak łatwo byłoby ją kochać.

Oczywiście, nie kochał jej jeszcze. Chociaż może nie byłoby to takie złe. Tylko że najpierw należało rozwiązać pewien problem.

Miała rok na zajście w ciążę. Minęło już siedem miesięcy, a dziecko nie zostało poczęte.

Nie byłoby bezpiecznie zakochać się w niej przed upływem tego terminu. A jeśli za pięć miesięcy będzie musiał się z nią rozstać?

Czy ja zwariowałem, pomyślał nagle Zach. Rozstawać się z Rebeccą? Po co, na litość boską? Jest znakomitą żoną!

Ale chciałbym mieć rodzinę, własne dzieci.

Dzieci dorastają i opuszczają rodziców. Żona zostaje na zawsze.

Mogę mieć inną.

Tak kochającą jak Rebecca? Czy jakakolwiek inna kobieta będzie potrafiła wprowadzić w życie tyle wspaniałego zamieszania? Jakież to wątpliwe.

To nie jest jedyna kobieta na świecie. Zrozum wreszcie, że ona jest wyjątkowa. Jedna na milion. I bardzo cię podnieca.

Ta ostatnia opinia nie podlegała żadnej wątpliwości. Zach znakomicie się bawił na pikniku, szczególnie pod koniec, gdy trzymał Rebeccę w ramionach. Powolne budowanie przyjemności było niezwykle podniecające. Mógł ją dotykać i pieścić do woli. Czuł dreszczyk wyczekiwania i wiedział, że w mroku sypialni wreszcie będzie należała do niego.

Ale tak się nie stało.

Spojrzał na budzik stojący przy łóżku. Minęły dwie i pół godziny. Już od dłuższego czasu z sypialni Jewel nie dochodził żaden odgłos. Sięgnął po dzinsy, zapiał guziki i ruszył korytarzem.

Ostrożnie uchylił drzwi, żeby nie obudzić małej. Po chwili zauważył, że łóżko jest puste. Szybko obrzucił wzrokiem pokój. Rebecca siedziała w fotelu na biegunach w kącie pokoju, a

dziewczynka wtuliła się w jej ramiona. Obydwie mocno spały.

Zach podszedł na palcach do fotela i przez chwilę stał bez ruchu, patrząc na nie. Lampa oświetlała gładką skórę Rebeki i lekkie blizny na twarzy Jewel. Włosy dziewczynki opadły na twarz masą splątanych kosmyków. Zach zdziwił się, że zwykły brąz może być taki ładny. Gładkie, czarne włosy Rebeki przyciągnęły jego dłoń, ale obawiał się ich dotknąć, by jej nie obudzić.

Poczuł ostry ucisk w piersi i pieczenie oczu. Nie pamiętał już, kiedy ostatni raz płakał, ale teraz czuł łzy napływające do oczu. Wiedział, że nigdy nie dostanie tego, czego najbardziej pragnął. Rebecca nie zajdzie w ciążę. Takie szczęście im się nie przydarzy. Będzie musiał wybierać między nią a chęcią posiadania własnego dziecka. Był pewien, że tak się właśnie stanie. Od lat wyobrażał sobie, jak jego dzieci dorastają na Sokolim Wzgórzu, i teraz nie potrafił wyrzec się tej wizji. Zbyt mocno wrosła ona w jego duszę.

Ale co będzie, jeśli ceną za krew z jego krwi i kość z kości okaże się Rebecca? Czy będzie potrafił wrócić do pustego życia, jakie wiódł, zanim ona je wypełniła?

Cicho wyszedł z pokoju.

Wrócił do sypialni i otworzył drzwi do ogrodu. Słyszał dźwięki nocy i czuł lekki wietrzyk. Liście wielkiego dębu szeleściły, ale poza tym wszędzie panował spokój.

Wyszedł na zewnątrz i pomiędzy powyginanymi konarami dębu ujrzał niebo pełne gwiazd. Wiele pokoleń Whitelawów patrzyło w te same gwiazdy. Może któryś z nich stał nawet pod tym samym

drzewem. Zach pragnął pozostawić coś po sobie, gdy odejdzie z tego świata. Chciał mieć pewność, że jakaś częśćka jego samego przeżyje, gdy śmiertelne szczątki Zacha Baylora Whitelawa zostaną unicestwione. Co w tym było takiego strasznego? Czy to był egoizm? Może nie. A jednocześnie nie ma to żadnego sensu, jeśli ma oznaczać wyrzeczenie się Rebeki.

Westchnął głęboko. Nie należało przedwcześnie stwarzać problemów. Nie musiał jeszcze podejmować żadnej decyzji. Miał przed sobą jeszcze pięć miesięcy. Może sytuacja sama się rozwiąże. Mógł tylko czekać.

I modlić się.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

- Znaleźliśmy rodzinę, która chce zaadoptować Jewel - oznajmiła przez telefon kobieta z ośrodka adopcyjnego.

- Rozumiem - powiedziała Rebecca. - Kiedy chcą się z nią spotkać?

- Dziś po południu, jeśli to możliwe. Czy odpowiada pani ten termin?

- Oczywiście.

- Powiem państwu Proffitom, że będzie pani na nich czekać.

Rebecca odłożyła słuchawkę i spojrzała na Zacha, który siedział przy kuchennym stole z kubkiem kawy. Jewel jeszcze spała.

- Znaleźli kogoś, kto chce zaadoptować Jewel. Państwo Proffitowie... Mają tu przyjechać dziś po południu. - Opadła na stołek i ukryła twarz w dłoniach. - Och, Zach, mieliśmy ją tylko przez trzy tygodnie!

- Mała, tak jest lepiej dla dziecka. Jewel potrzebuje ojca i matki.

Rebecca gwałtownie podniosła głowę.

- Dlaczego my nie mielibyśmy nimi zostać? Ona nas kocha, Zach. Nie będzie chciała stąd wyjeżdżać.

- To tylko dziecko. Zrobi, co jej się każe.

- Będzie załamana. Zacznie płakać.

- Przejdzie jej.

- Jak możesz być tak pozbawiony serca?!

- Ja tylko myślę realnie - odrzekł Zach z żelaznym opanowaniem. - Od początku było wiadomo, że to tymczasowa sytuacja.

- Nie sądziłam, że znajdą kogoś tak szybko. - Rebecca zacisnęła dłonie w pięści, aż kostki palców zbieleły. - Ani też, że tak bardzo ją pokocham. - Zwróciła na Zacha błagalne spojrzenie. - Czy nie moglibyśmy jej zatrzymać? Tak cię proszę!

- To nie jest samotna staruszka ani kowboj-pechowiec. To dziecko, które rośnie i rozwija się. Potrzebuje rodziców, którzy będą ją kochać i zapewnią jej normalny dom.

- Ja ją kocham. A gdybyś pozbył się tej głupiej dumy, to musiałbyś przyznać, że też ją kochasz - upierała się Rebecca. - Nie musimy pozwalać, żeby państwo Proffitowie ją zabrali. Możemy stworzyć jej dom, Zach.

- Ja jej nie chcę! - Zach podniósł się tak gwałtownie, że stołek, na którym siedział, upadł z głośnym hukiem na podłogę. - Chcę mieć własną córeczkę. Ja...

Przerwał mu szloch dochodzący z progu kuchni. Spojrzał w tamtą stronę i ze ściśniętym sercem zobaczył, że w progu stoi Jewel. Ubrana była w koszulę nocną, a jej różową twarzyczkę otaczały potargane włosy. Drobne dłonie miała zaciśnięte w pięści. Cała drżała. Boże, cóż to dziecko zdążyło usłyszeć? Na pewno za dużo. A jednocześnie za mało. Skąd Jewel miała wiedzieć, że chęć posiadania własnego dziecka nie miała nic wspólnego z jej kalectwem? To była wina Zacha, głęboko zakorzeniona duma rodzinna, której nie potrafił się pozbyć.

Zach bezradnie spojrział na Rebeccę. Jej twarz była niemal tak blada jak twarz dziecka.

Podszedł do Jewel i przyklęknął przed nią na jedno kolano. Dziecko zrobiło ruch, jakby chciało obrócić się na pięcie i uciec, ale przytrzymał ją za ramiona.

- Posłuchaj mnie, Jewel...

- Nie! Nie lubisz mnie! Nie chcesz, żebym tutaj była!

Zach poczuł rozpacz.

- Jewel, kochanie, ogromnie cię lubię. Tylko że... pewni mili państwo chcą cię zaadoptować. Pragną, żebyś już na zawsze była ich córeczką. Rebecca i ja...

- Nie chcecie mnie! - Dziewczynka skłoniła głowę na pierś i opuściła ramiona. Po pokrytym bliznami policzku spłynęła pierwsza łza.

- Och, kochanie... - Zach czuł się wewnętrznie rozdarty. Nie mógł powiedzieć, że chce zatrzymać Jewel, nie wzbudzając w niej jednocześnie nadziei, że będzie tu mogła pozostać na zawsze! Ale nie chciał jej adoptować. Nie była to wina Jewel; była wspaniałym dzieckiem. Ale nie była jego córką.

Chwycił ją w ramiona i mocno przytulił. Gdy spojrział na Rebeccę, ta zauważyła w jego oczach łzy. Zach nie miał pojęcia, jakiego argumentu użyć, by zmniejszyć bolesne rozczarowanie pięciolatki.

Rebecca podeszła do nich. Zach drugim ramieniem przyciągnął ją do siebie.

- Obiecuję, że będę grzeczna - szlochała Jewel.
- Och, Jewel, przecież i tak jesteś grzeczna - jęknęła Rebecca.

Zach nie był w stanie wypowiedzieć ani słowa. Gardło miał ściśnięte.

- To nie o to chodzi, że my nie chcemy, żebyś została naszą córeczką - tłumaczyła Rebecca - ale...

Napotkała spojrzenie Zacha. Zauważył, że w jej wzroku maluje się błaganie. Rebecca chciała wpłynąć na jego decyzję, ale musiał gdzieś wyznaczyć granicę. Jeśli tego nie zrobi, wkrótce cały dom zaludni się bezdomnymi sierotami. Jewel była kochanym dzieckiem, ale w niczym się nie różniła od wielu innych sierot. Zach lekko, lecz stanowczo potrząsnął głową.

Skrzywił się na widok wyrazu potępienia malującego się na twarzy Rebeki. Musiał zebrać całą siłę woli, by wytrwać w raz powziętym postanowieniu.

- Dziś po południu przyjadą tu w odwiedziny twoja nowa mama i tato - powiedziała Rebecca do małej spokojnym, pocieszającym tonem. - Bardzo chcą, żebyś z nimi zamieszkała. Nie masz ochoty ich poznać?

- Nieee - łkała Jewel. - Chcę zostać z wami. Nie chcę stąd wyjeżdżać. Kocham was.

Szlochając gwałtownie, przywarła do ramienia Zacha. Zauważył, że Rebecca przygryzła wargę, by powstrzymać łzy. Musiał stąd zniknąć, bo wiedział, że jeśli tego nie zrobi, za chwilę da się przekonać. Popchnął Jewel w ramiona Rebeki.

- Muszę iść. Mam dużo pracy. Wrócę po południu, zanim Proffitowie przyjadą.

Jadąc samotnie na grzbiecie konia, daleko od domu, nadal słyszał żalospny głosik dziecka i widział niechęć na twarzy Rebeki. Wiedział, że rozczarował je obydwie. Wbrew ich nadziejom nie okazał się bohaterem, lecz czarnym charakterem.

To był największy problem w małżeństwie z Rebecą. Przez cały czas Zach próbował dorosnąć do jej oczekiwań, ale często mu się to nie udawało. W ciągu minionych ośmiu miesięcy robił wszystko, co tylko było w jego mocy, by ją zadowolić, sprawić jej przyjemność, zasłużyć na uśmiech aprobaty. Gdy widział w jej wzroku, że nie spełnił oczekiwań, bardzo cierpiał.

Tak jak teraz.

Rebecca pragnęła ujrzeć w nim rycerza w lśniącej zbroi, który przychodzi jej z pomocą. On zaszachował się jak zły czarnoksiężnik.

W gruncie rzeczy teraz, gdy już miał czas, by się nad tym zastanowić w samotności, stwierdził, że na Sokolim Wzgórzu jest mnóstwo miejsca i z łatwością może tu zamieszkać jeszcze jedna osoba. Kto powiedział, że nie mogliby zatrzymać Jewel i mieć oprócz tego własnych dzieci? Słyszał o wielu przypadkach, gdy małżeństwo, które przez dłuższy czas nie miało dzieci, adoptowało chłopca lub dziewczynkę, a wkrótce potem rodziło im się własne dziecko. Na przykładzie swego brata Falcona przekonał się, że mężczyzna może pokochać dziecko, które nie jest jego naturalnym potomkiem. On także pokochał już Jewel. Myśl o tym, czym stanie się jego życie, jeśli ta

mała z niego zniknie, sprawiała mu ból. Nigdy nie przestanie się o nią martwić. Zawsze będzie się zastanawiał, czy jest jej ciepło, czy ma co jeść i czy jest szczęśliwa.

Nie mógł się już doczekać powrotu do domu. Chciał powiedzieć Rebecce, że zmienił zdanie. Wiedział, że sprawi jej tym przyjemność. Miał nadzieję, że obie wraz z Jewel będą mu potrafiły wybaczyć.

Spiął konia ostrogami. Ani zwierzę, ani jeździec nie zauważyli w porę króliczej nory w ziemi. Koń potknął się i upadł, przygniatając jeźdźca swoim ciężarem. Przez chwilę Zach leżał ogłuszony, próbując złapać oddech. Gdy wreszcie udało mu się poruszyć, przetoczył się na bok, by sprawdzić, jak się czuje koń. Zwierzę z wysiłkiem podniosło się na nogi i, kulejąc, ruszyło przed siebie.

Zach uświadomił sobie, że ma wywichniętą kostkę. Obejrzał konia. Przednia prawa noga nie była złamana, ale brzydko zwichnięta.

Od czasu gdy pierwszy turnus dzieci przyjechał na obóz, Zach przestał przeklinać, bo nigdy nie był pewny, czy któryś malec go nie słyszy. Czasem jednak żadne inne słowo nie wyrażało tego, co miał ochotę powiedzieć. A teraz w pobliżu nie było żadnych dzieci. Zach znajdował się około dwunastu mil od najbliższego cywilizowanego miejsca.- A niech to wszyscy diabli! - wymamrotał z wściekłością.

W żaden sposób nie uda mu się dotrzeć do domu przed przyjazdem Proffitów. Och, Boże. A jeśli zabiorą Jewel ze sobą? Ani Rebecca jemu, ani on sam nigdy sobie tego nie wybaczy.

Rebecca z trudem tłumiała wściekłość. Mało, że Zach zostawił ją z przerażoną pięciolatką, w dodatku nie wrócił na czas przed przyjazdem

Proffitów, choć jej to obiecał.

Przywitała gości w drzwiach.

- Dzień dobry państwu. Jestem Rebecca Whitelaw.

- Proszę nas nazywać Dan i Susan - rzekł mężczyzna, przekraczając próg.

Rebecca pomyślała, że wyglądają całkiem sympatycznie. Dan ubrany był w drogi garnitur i krawat, a Susan w elegancką sukienkę. Byli nieco starsi, niż się spodziewała. Obydwoje mieli około trzydziestu pięciu lat, ale wyglądali bardzo nobliwie. Można ich było nazwać piękną parą.

- Myślałam, że Jewel tu będzie - powiedziała Susan.

- Jest w swoim pokoju. Pomyślałam, że lepiej będzie, jeśli najpierw porozmawiamy przez chwilę sami. - Rebecca nie mogła nic zrobić, jeśli Dan i Susan naprawdę chcieli adoptować Jewel, ale czuła się odpowiedzialna za los dziewczynki i chciała sprawdzić, w jakie ręce ją oddaje.

Posadziła ich w salonie na kanapie. - Czy macie jeszcze inne dzieci? - zapytała.

- Nie. Chcieliśmy, ale okazało się, że nie możemy mieć własnych - odrzekła Susan.

- Przykro mi. - Wbrew sobie Rebecca poczuła dla Proffitów współczucie. - Od jak dawna staraliście się o adopcję? - Słyszała, że na adopcję czeka się zazwyczaj dosyć długo.

- Zaczęliśmy czegoś szukać dopiero przed rokiem - wyjaśnił Dan.

Rebecca zmarszczyła brwi. Brzmiało to tak, jakby szukali używanego samochodu.

- Czy chcielibyście, żebym najpierw opowiedziała wam trochę o Jewel?

- Wolelibyśmy sami ją zobaczyć i wyrobić sobie własne zdanie na temat tego dziecka - rzekł mężczyzna.

- Dobrze, pójdę po nią.

Jewel bawiła się w swoim pokoju. Od chwili gdy Zach wyszedł z domu, zachowywała się bardzo potulnie, jakby miała nadzieję, że jeśli będzie grzeczna, stanie się niewidzialna i Rebecca zapomni o jej obecności.

- Jewel, państwo Proffitowie już tu są. Chcieliby cię poznać.

- Muszę iść?

Rebecca skinęła głową i wyciągnęła rękę. Jewel pochwyciła ją bardzo mocno. Gdy weszły do salonu, dziewczynka nadal kurczowo ścisnęła jej dłoń. Rebecca usiadła w fotelu na biegunach, miała zaś stanęła między jej kolanami. Zanim jednak Rebecca zdążyła powiedzieć choć słowo, Susan zawołała:

- Ona kuleje!

- I ma blizny na twarzy - dorzucił Dan.

- Jewel niedawno przeżyła wypadek samochodowy. Cała jej rodzina zginęła.

- Nikt nam nie powiedział o tym, że kuleje - odezwała się Susan.

- Ani o bliznach - dodał Dan.

- Czy ona kiedyś zacznie normalnie chodzić? - zapytała Susan.

- Ona już teraz chodzi normalnie - wykrztusiła Rebecca z wysiłkiem.

- Ale przecież kuleje! - wykrzyknęła Susan.

Rebecca poczuła napięcie dziewczynki. Mocno objęła ją ramieniem, pragnąc ją pocieszyć i chronić przed atakami tych okrutnych, gruboskórnych ludzi.

- Czy te blizny kiedyś znikną? - pytał Dan.

- Prawie ich nie widać - udało się wykrztusić Rebecce. - Z czasem zbledną tak, że prawie nie będą widoczne.

- Prawie? - powtórzył Dan, marszcząc brwi i wymieniając spojrzenia z żoną.

Rebecca poczuła, że zbiera jej się na mdłości. Oni naprawdę zachowywali się tak, jakby chcieli kupić używany samochód. I nie chcieli czegoś z wgniecionym błotnikiem czy porysowanym lakierem.

Obydwoje jednocześnie podnieśli się z kanapy.

- Przykro mi, że zajęliśmy pani czas - powiedział Dan. - Jewel nie jest odpowiednim dzieckiem dla nas - dodała Susan.

Rebecca nie wierzyła własnym uszom. Nie mieściło jej się w głowie, że mogli mówić takie rzeczy w obecności Jewel, jakby naprawdę była tylko przedmiotem i nie mogła usłyszeć ich słów. Okrucieństwo tych ludzi zdumiało ją.

Zerwała się z fotela jak anioł zagłady, zasłaniając dziewczynkę własnymi plecami. Zanim jednak zdążyła się odezwać, dziecko wybiegło z pokoju.

- Jewel, poczekaj! - zawołała, ale dziewczynki już nie było. W

chwilę później usłyszała trzaśnięcie drzwi kuchennych. Mała pewnie pobiegła do stajni. Rebecca miała zamiar jej poszukać, gdy tylko pożegna się z Proffitami, i spróbować naprawić choć część z tego zła, które już się dokonało.

- Nie zasługujecie na tak cudowne dziecko jak Jewel!
- krzyknęła - a dziewczynka, chociaż kuleje i jest oszpecona, ma więcej miłości w małym palcu niż wy obydwójecie potraficie sobie wyobrazić. Wynoście się z mojego domu. Precz z tego rancza! Uciekajcie z tego miasta! Bo jak powiem w ośrodku adopcyjnym, co o was myślę, to nikt w tej okolicy nie powierzy wam żadnego dziecka!

Nie czekając na ich wyjście, ruszyła do tylnych drzwi i biegiem ruszyła do stajni. W środku było pusto, Rebecca ze zdenerwowaniem zauważyła, że kucyk Jewel zniknął. Siodło wisiało na swoim miejscu na ścianie, ale nie było uzdy. Dziewczynka nie potrafiła sama udźwignąć siodła, udało jej się jednak nałożyć uzdę. Pojechała na oklep. Sokole Wzgórze obejmowało wielki obszar i było tu mnóstwo ścieżek, na których dziecko mogło ulec wypadkowi. Rebecca nie miała pojęcia, skąd zacząć poszukiwania.

- Och, Zach, gdzie ty się podziewasz w chwili, gdy najbardziej cię potrzebuję?

Zmęczony, spocony i głodny Zach, utykając, dotarł wreszcie do bramy posiadłości. Gdy się tu wprowadził, obsadził gruntową drogę wjazdową młodymi dębami. Teraz drzewa podrosły i dawały przyjemny cień. Zach oczami wyobraźni widział już dzień, gdy podjazd do jego domu stanie się równie imponujący jak wysadzana magnoliami

droga prowadząca do domu jego rodziców.

Przez kilka ostatnich mil układał w myślach przeprosiny. Miał tylko nadzieję, że nie jest jeszcze za późno.

Dręczył go niepokój i nade wszystko pragnął dowiedzieć się, co wynikło z rozmowy z Proffitami, ale najpierw ruszył do stajni. Każdy kowboj przede wszystkim upewniał się, że jego koń ma wszystko, czego mu potrzeba, a potem dopiero zajmował się swoimi sprawami. Ten obyczaj powstał na Zachodzie w czasach, gdy człowiek bez konia umarłby z pragnienia, wędrując pieszo po rozległych teksańskich równinach, zanimby dotarł do wody.

Gdy zdejmował siodło z ogiera, w drzwiach stajni pojawił się jakiś mężczyzna. Zach drgnął na widok obcego, ale po chwili poznał swego najnowszego pracownika, Smitty'ego, który pojawił się w ich domu przed dwoma dniami.

Smitty przyszedł na Sokole Wzgórze, aby prosić o pracę. Zach otworzył mu drzwi. W pierwszej chwili ucieszył się, że nie zrobiła tego Rebecca. Po jednym spojrzeniu na przybysza, widząc jego znoszone buty, postrzępione dzinsy i zakurzoną koszulę wiedział już, że Rebecca z miejsca dałaby mu pracę,

- W czym mogę ci pomóc? - zapytał.
- Szukam pracy.
- Nie potrzebuję nikogo - odrzekł Zach zgodnie z prawdą.
- Umiem dobrze pracować.
- Nie wątpię w to. Dlaczego jesteś teraz bez pracy?
- No, cóż! - Kowboj oblał się rumieńcem. - Nie mogłem, się

dogadać z szefem.

- Rozumiem. - Na pewno jakiś awanturnik, pomyślał Zach i znów poczuł ulgę, że to nie Rebecca otworzyła drzwi.

- Ten człowiek maltretował swojego psa - dodał kowboj. - Nawet zwierzęcia nie powinno się tak traktować.

Zach musiał się z nim zgodzić. Może jednak nie był to zwykły awanturnik.

- Żałuję, że nie mogę w niczym pomóc, ale naprawdę teraz nikogo nie potrzebuję.

Obóz zakończył już działalność aż do przyszłego roku. Z tego też powodu Rowley Holiday wrócił do pracy przy rodeo.

- Mogę robić absolutnie wszystko. Zach wsunął kciuki w tylne kieszenie dżinsów, odpychając od siebie pokusę, by zatrudnić tego człowieka.

- Nie mam panu żadnej pracy do zaproponowania - powtórzył. Mężczyzna odwrócił się, zawahał, po czym jeszcze raz spojrzął na Zacha. Potarł zarośniętą brodę i nerwowo przesunął dłonią po nogawce dżinsów.

- Widzi pan, mam chorą żonę. Na raka. Teraz jest w szpitalu. Ładują w nią jakieś chemikalia. Muszę znaleźć pracę, żeby zapłacić rachunki.

Zach był pewien, że gdyby ten człowiek nie wspomniał akurat o raku, z czystym sumieniem zamknąłby mu drzwi przed nosem. Ale w ciągu ostatnich kilku lat obserwował walkę z rakiem Suzanny, a przez całe ostatnie lato patrzył na dzieci, które zżerała ta choroba. Dał

Smitty'emu pracę. Powiedział sobie, że robi to kierując się chrześcijańskim miłosierdziem. Na pewno nie dlatego, iż Rebecce udało się go przekonać, że ma mnóstwo rzeczy, którymi może się dzielić z innymi. Ani też nie po to, by sprawić jej przyjemność i zasłużyć na uśmiech aprobaty.

Gdy Rebecca usłyszała, co zrobił, spojrzała na niego z czułością i pocałowała go. Zach zarumienił się jak nastolatek, który pierwszy raz kupuje prezerwatywy w aptece.

Teraz jego szlachetność została wynagrodzona, bo potrzebował kogoś, kto mógłby zająć się koniem. Smitty był akurat pod ręką.

- Czy mogę w czymś pomóc, szefie? - zapytał.

- Umiesz opatrywać zwichnięcia?

- Jasne. Kiedyś pracowałem w stajni wyścigowej. Mam maść, która czyni cuda. Niech mi pan zostawi tego konia. Zajmę się nim. A pan też powinien przyłożyć sobie lód do kostki.

- Zrobię tak. Nie widziałeś przypadkiem gdzieś Rebeki? - zapytał Zach jak najbardziej obojętnym tonem.

- Wzięła konia i pojechała w stronę kanionu.

- Jewel była z nią?

- Nie, pojechała sama.

Zach ruszył do domu. Może Rebecca zostawiła mu jakąś kartkę. Czy był jakiś powód, dla którego ona i Jewel nie pojechały razem? Może mała poszła się pobawić z dziećmi Callen.

A jeśli zabrali ją Proffitowie?

Wchodząc do kuchni, poczuł zimny dreszcz na plecach. W całym

domu panowała niczym nie zakłócona cisza. Zach głośno zatrzasnął siatkowe drzwi.

- Rebecca? Jewel?

Pokuśtykał przez korytarz do pokoju małej, obawiając się tego, co tam zobaczy. Gdy stanął w drzwiach, serce głośno dudniło mu w piersiach.

Odetchnął z ulgą widząc, że rzeczy dziewczynki nadal są na swoim miejscu. Wsunął szufladę komody, by się całkiem upewnić. Malutkie koszulki i bielizna w kwiatuszki nadal tam leżały. Na łóżku zobaczył ulubioną lalkę i misia Jewel.

Więc dokąd poszła? I dlaczego Rebecca jeszcze nie wróciła z przejażdżki? Było już prawie ciemno. Wrócił do kuchni, podszedł do telefonu i zadzwonił do siostry.

- Cześć, Callen.

- Witaj. Nie widzieliśmy was od Święta Pracy. Kiedy nas odwiedzicie i przyprowadzicie Jewel?

Zach poczuł, że wszystkie jego nadzieje ulatują.

- Nie ma u was Jewel? - zapytał, choć znał odpowiedź.

- Nie! Tylko mi nie mów, że zgubiłeś dziecko, Zach! To świadczyłoby o lekkomyślności, o którą cię nie podejrzewałam.

- Mhm... Nie jestem pewien, gdzie się mała podziewa. Dziś po południu mieli tu przybyć ludzie, którzy chcą ją zaadoptować.

- Wiem. Rebecca dzwoniła do mnie rano, zaraz po twoim wyjeździe. Jak poszło spotkanie?

- Nie wiem. Nie było mnie w domu.

Callen głośno westchnęła, ale Zach natychmiast dodał:

- Zanim zaczniesz mi robić awanturę, chciałbym ci wyjaśnić, że mój koń wpadł w króliczą norę. Obydwaj dotarliśmy tu, kuśtykając.

Dopiero przed chwilą wszedłem do domu.

- Nic ci się nie stało?

- Wszystko w porządku. Tylko że... nie wiem, gdzie są Rebecca i Jewel.

- Może wyślę Sama, żeby pomógł ci ich szukać?

- Zabiorę ze sobą przenośny telefon i jeśli nie znajdę Rebeki, zadzwonię do ciebie.

- Dobrze. Będę czekać na wiadomość. Zach starał się nie wpadać w panikę. Na pewno istniał jakiś logiczny powód, dla którego Rebecca jeszcze nie wróciła. A Jewel mogła być u kogoś innego. Na przykład u jego rodziców.

W chwili gdy wykręcał ich numer, usłyszał skrzypnięcie drzwi. Odwrócił się, otwierając już usta, by nawymyślać Rebecce za to, że nie zostawiła mu żadnej kartki, i zastygł.

W drzwiach stała Jewel. Czoło miała podrapane i zakrwawione, brudną twarz poznaczoną śladami łez, a dolną wargę spuchniętą.

- Becca! - wyszlochała. - Becca!

Zach w dwóch susach przemierzył kuchnię i porwał małą na ręce.

- Gdzie jest Rebecca?

Jewel ze wszystkich sił pochwyciła go za szyję.

- Tak mi przykro, tak mi przyyy-krooo - zawodziła. - Biedna Becca!

Zach powstrzymał się z trudem, by nią nie potrząsnąć. Dziecko wpadło już w histerię i gwałtowne reakcje mogłyby tylko pogorszyć sprawę. Poczł jednak, że ogarnia go przerażenie. Za co ta mała go przeprasza? Dlaczego powtarza „biedna Becca”? Gdzie, do diabła, podziewa się jego żona? Co się z nimi obydwoma działo?

Starł się, jak mógł, uspokoić dziewczynkę, ale sam był tak rozdygotany, że dopiero po długiej chwili udało mu się wydobyć z niej coś więcej.

- Gdzie ona jest, Jewel? Gdzie jest Rebecca? Broda dziecka drżała, a z brązowych oczu płynęły łzy.- Jewel, proszę, powiedz, gdzie ona jest? Musisz mi powiedzieć. Trzeba jej pomóc?

- Nie możesz jej pomóc - odrzekła dziewczynka.
- Dlaczego?
- Bo ona nie żyje.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Zach poczuł, że serce zamarło mu w piersi. Nie mógł uwierzyć w to, co powiedziała Jewel. Dziewczynka musiała się pomylić.

Postawił ją na podłodze i uklęknął obok.

- Musisz mnie do niej zaprowadzić, Jewel. Trafisz tam?
- Jej koń zobaczył węża i zaczął wierzgać. Upadła daleko.

Wołałam ją, ale nie odpowiadała. Próbowałam podejść bliżej, ale tam nie ma ścieżki.

Zach odgarnął potargane kosmyki włosów z czoła dziewczynki.

- Gdzie się tak potłukłaś?
- Och! Mój kucyk też się przestraszył. Spadłam z niego, ale nic mi się nie stało.

Zach ujrzał w wyobraźni obraz dwóch spłoszonych, wierzgających koni na niebezpiecznej, skalistej ścieżce, która uniemożliwiała jakikolwiek manewr. Rebecca upadła... upadła. Co dokładnie oznacza „daleko”? A jeśli jest tylko ranna? Może straciła przytomność i już teraz usiłuje wrócić do domu, zastanawiając się, czemu on nie spieszy jej z pomocą.

- Byłaś bardzo dzielna, że udało ci się trafić do domu. W oczach Jewel znów zebrały się łzy. Potrząsnęła głową.

- Po prostu wsiadłam na kucyka i kazałam mu wracać. To on znalazł drogę.

- Mimo wszystko...

Dziewczynka pochwyciła go mocno za nogawkę dzinsów.

- To moja wina. Becca prosiła, żebym nie uciekała. Mówiła mi, że nigdy nie pozwoli, żeby ci okropni Proffitowie mnie zabrali. Ale ty wcześniej powiedziałaś, że mnie nie chcesz, a oni też mnie nie chcieli, bo kuleję i mam blizny. Tak bardzo się bałam.

Zach pochwycił Jewel w ramiona i mocno przycisnął do siebie.

- Och, Jewel.

Jak to możliwe, by ktoś jej nie chciał? Wiedział już, dlaczego rodzice wybrali jej takie imię. Była klejnotem, cenniejszym od szafirów, topazów i szmaragdów. Przekonał się, że i dla niego to dziecko na zawsze pozostanie bezcennym, niezastąpionym skarbem.

Po chwili wziął się w garść.

- Musimy znaleźć Rebecę - powiedział, przewyciężając ucisk w gardle. - Pomożesz mi?

- Spróbuję. A jeśli nie będę mogła sobie przypomnieć, gdzie ona leży?

- Nie martw się - pocieszył ją Zach. - Znajdziemy ją.

Wybiegł z kuchni, głośno wołając o pomoc. Ze wszystkich stron zbiegli się ludzie.

- Rebecca leży ranna gdzieś w kanionie. Niech ktoś zadzwoni pod 911 i wezwie karetkę. Powiedźcie im, że może być potrzebny helikopter, żeby ją zabrać. Na przykład, jeśli ma uszkodzony kręgosłup.

- Ja to zrobię - zgłosiła się pani Fortunata.

- Niech ktoś dołączy do samochodu przyczepę i załaduje na nią mojego konia.

- Już się do tego zabieram, szefie - odezwał się Smitty.
- Ktoś musi też pojechać ze mną, żeby mi pomóc... - Nie potrafił się przemóc, żeby powiedzieć „zabrać ciało”, więc dokończył: - zejść na dół po ścianie kanionu.
- Pojadę z tobą - zgłosił się Campbell.

Smitty poszedł przygotować ciężarówkę, a Zach wrócił do domu i zajął się zadrapaniami Jewel.

Im bliżej byli kanionu, tym większy lęk ogarniał Zacha. A jeżeli Rebecca naprawdę nie żyje? Jeśli nigdy już nie będzie miał okazji wyznać, że ją kocha? Och, Boże, jak on ją kochał! Dawał jej do zrozumienia, iż jest taką samą kobietą jak wszystkie inne, że z łatwością każda mogłaby ją zastąpić...

Ale na całym świecie nie było drugiej takiej kobiety jak Rebecca. Nikt inny nie ośmieliłby się zaanektować jego domu na potrzeby kalek i bezdomnych sierot... ani nie potrafiłby sprawić, że zaczął to być prawdziwy dom.

Rebecca musiała żyć.

Dotarli do kanionu najszybciej, jak się dało. Zaparkowali ciężarówkę w pobliżu ścieżki. Campbell sprowadził konia z przyczepy. Zach posadził Jewel za sobą na siodle, a kowboj jechał za nimi. Każda chwila była cenna. Zapadał już zmrok.

Gdy wjechali za zakręt ścieżki, Jewel wskazała ręką zbrocze i zawołała:

- Tam jest! Widzę ją, Zach!

Rebecca nie poruszała się. Z miejsca w którym się znajdowali,

Zach widział krew na jej koszuli. Zastanawiał się, czy nie podjechać jeszcze kawałek konno, ale ścieżka skręcała w innym kierunku. Uznał, że lepiej będzie od razu zejść na dół po stromym zboczu.

Szybko postawił Jewel na ziemi, sam także zsiadł z konia i przywiązał linę do łąku siodła. W dzieciństwie często wspinał się po zboczach tego kanionu i teraz wiedział dokładnie, co powinien zrobić. Szybko opuścił się w dół po skalistej ścianie i wylądował niedaleko od Rebeki.

Poruszyła się i jęknęła.

Zach pohamował absolutnie niewłaściwy w tej sytuacji śmiech ulgi. Żyła! Tylko to miało w tej chwili znaczenie. Uklęknął przy niej, by sprawdzić, co jej jest.

- Mała - powiedział cicho - tym razem naprawdę przesadziłaś.

Ku jego zdumieniu otworzyła oczy i spojrzała prosto na niego.

- Kocham cię, Zach - powiedziała.

Poczuł ściskanie w gardle. Wiedział, dlaczego to powiedziała.

Sądziła, że umrze. Cóż z niej za tchórz. Prawie taki sam, jak on.- Ja też cię kocham - powiedział głosem ochrypłym ze wzruszenia.

- Naprawdę?

- Mhm. Teraz przestań gadać. Muszę zobaczyć, co ci jest, i jakoś cię stąd wyciągnąć.

- Czy Jewel nic się nie stało?

- Na szczęście z nią wszystko w porządku. Udało jej się trafić samej do domu. - Uznał, że nie jest to najlepsza chwila, by oznajmiać, że Jewel uznała ją za zmarłą. - Czy możesz poruszać rękami i nogami?

- Mhm. Ale chyba złamałam sobie prawy przegub. Rękę miała bardzo spuchniętą.

- Owszem, wygląda na złamaną.

Zach przyjrzał się rozcięciu na jej czole, rana nie była jednak groźna. Zajrzał Rebecce w oczy, sprawdzając-, czy nie doznała wstrząsu mózgu, ale nie zauważył żadnych niepokojących oznak.

- Straciłaś przytomność?

- Chyba tak. Gdy upadłam, było wczesne popołudnie. A potem, gdy otworzyłam oczy, słońce już chowało się za ścianą kanionu.

Zach zdjął kapelusz i przesunął dłonią po włosach.

- Muszę zdecydować, czy sam mam cię stąd zabrać, czy poczekać na ekipę medyczną.

Rebecca spróbowała się podnieść.

- Mogę... - Skrzywiła się i przyłożyła dłonie do brzucha.

- Coś cię boli? - Zach podtrzymał ją.

- Nie wiem. Chyba, spadając, uderzyłam w jakiś kamień - rzekła, uśmiechając się z wyraźnym wysiłkiem. - Trochę jestem obolała.

- Pozwól, że to obejrzę.

Rozpiął pasek, rozsunał zamek błyskawiczny i wyciągnął koszulę na wierzch. Brzuch miała okropnie posiniaczony.

- Nie wygląda to dobrze - mruknął, dotykając go lekko. Rebecca wykrzyknęła z bólu.

Wyglądało to na coś poważnego. Może krwotok wewnętrzny? Cała ulga, jaką Zach poczuł, gdy zobaczył, że Rebecca nie doznała wstrząsu mózgu ani że nie jest sparaliżowana, zniknęła gdzieś. Mogła

jeszcze umrzeć z powodu obrażeń wewnętrznych, których nie było widać na pierwszy rzut oka.

Starannie zabandażował jej głowę, by powstrzymać krwawienie.

- Jeśli sądzisz, że to wytrzymasz, spróbuję wyciągnąć cię stąd na linie.

- Rób, co chcesz - odpowiedziała. - Bylebym mogła wrócić do domu.

- Pojedziesz prosto do szpitala. Żadnych dyskusji! - uciał.

Nie protestowała, co było jeszcze jednym dowodem na to, że jej obrażenia są poważne. Przez następne pół godziny, gdy Zach wyciągał ją na górę, jej stan znacznie się pogorszył. Znow straciła przytomność.

- Nie żyje? - zapytała Jewel.

- Żyje. Rozmawiałem z nią na dole. Pytała o ciebie.

Opowiedziałem jej, że przyjechałaś do domu, żeby sprowadzić dla niej pomoc. Jewel położyła dłoń na bladym policzku Rebeki i spojrzała na Zacha.

- Czy ona wyzdrowieje?

- Wyzdrowieje. Ale musimy ją zabrać do szpitala, żeby lekarze mogli się nią zająć.

Zach musiał wyjść na krawędź kanionu, żeby telefon komórkowy zadziałał. Postanowił już, że trzeba będzie zabrać Rebecę do szpitala helikopterem. Patrząc na śmigłowiec, który odlatywał bez niego, przeżywał najtrudniejszą chwilę w całym życiu.

Załadowali konie z powrotem do ciężarówki, dotarli na ranczo, odpięli przyczepę i Zach mógł wreszcie jechać do szpitala.

- Czy mogę pojechać z tobą? - zapytała Jewel.
- Nie, poczekaj tutaj z panią Fortunatą.
- Ale Becca mnie potrzebuje!
- Odwiedzisz ją, gdy już poczuje się lepiej - tłumaczył łagodnie.
- Ale ona może umrzeć! Tak jak moja mama i tato!
- Szpital to nie jest miejsce dla dzieci! - zawołał Zach, tracąc cierpliwość. - Muszę już jechać. Bądź grzeczna i poszukaj pani Fortunaty.

Odwrócił się i ruszył do samochodu. Nie zauważył, że dziewczynka wspięła się na przyczepę i schowała pod plandeką.

Zaparkował ciężarówkę na szpitalnym parkingu i wysiadł, zanim jednak zdążył zrobić dwa kroki, poczuł drobną dłoń wślizgującą się między swoje palce.

Obrócił się i zobaczył twarzączkę, na której malował się upór równy uporowi Rebeki.- Jak, do diabła... hm, skąd się tu wzięłaś? Cholera... choroba jasna, Jewel, co ja mam z tobą zrobić?

- Ja muszę się zobaczyć z Beccą.

Zach nie miał już czasu, żeby odwieźć ją z powrotem do domu. Ponuro zacisnął usta i pociągnął małą za sobą.

- Możesz posiedzieć w poczekalni. Ale masz być cicho.

Rozumiesz?

- Mhm.

Wszedł do budynku i skierował się do najbliższego biurka, za którym siedziała pielęgniarka.

- Pańska żona znajduje się w tej chwili na sali operacyjnej -

usłyszał. - Odniosła wewnętrzne obrażenia i potrzebna była interwencja chirurgiczna. Lekarz porozmawia z panem, gdy tylko skończy operować. Na drugim piętrze jest poczekalnia.

Jewel dotrzymała słowa i zachowywała się cicho jak myszka. Nie odstępowała Zacha nawet o krok. Gdy zirytowany powiedział, żeby przestała za nim chodzić, usiadła na krześle w kącie i nie spuszczała z niego oczu, jakby był ostatnią więzią łączącą ją z Rebeccą. Bała się, że jeśli Rebecca umrze, on także ją opuści.

Zach rozumiał uczucia dziecka.

Był zdziwiony, gdy w poczekalni pojawili się Sam i Callen. Wiadomości rozchodziły się szybko. Jego rodzina zawsze trzymała się razem w kłopotach. Wkrótce potem przyjechali rodzice i zadzwonił Falcon.

- Jeszcze nic nie wiem - rzekł Zach, odpowiadając na pytanie o stan Rebeki. - Jest na sali operacyjnej.

- A ty jak się czujesz? - zapytał Falcon.

Zach przypomniał sobie, jak wiele lat temu przyjechał do szpitala z Falconem, gdy jego przybrana córka, Suzanna, zachorowała bardzo poważnie i obawiali się, że może to być nawrót białaczki. Chciał wtedy zostać i służyć bratu wsparciem. Teraz zrozumiał, dlaczego wówczas Falcon go odesłał. Gdyby brat tu był, Zach zapewne rozplakałby się jak dziecko. A nie mógł sobie pozwolić na to, by się rozkleić. Musiał zachować siły dla Rebeki i dla Jewel.

- Ze mną wszystko w porządku - odrzekł.

- Poproś mamę, żeby do mnie zadzwoniła, gdy już się czegoś

dowiecie. Będziemy się za nią modlić.

- Dzięki, Falcon.

Było już późno, gdy w poczekalni wreszcie pojawił się lekarz w zielonym kitlu chirurgicznym, pokrytym ciemnymi plamami. Zach poznał jego twarz. Pamiętał go ze szkoły. Lekarz był o kilka lat młodszy od niego. Gdyby się chwilę zastanowił, przypomniałby sobie, jak ma na imię.

Ktoś wszedł do poczekalni i wyłączył kilka górnych świateł. Pomieszczenie pogrążyło się w cieniu. Sam i Callen pojechali do domu położyć dzieci spać, a rodzice poszli do szpitalnego bufetu na kawę. Jewel nie chciała pojechać z Samem i Callen i siedziała z Zachem w poczekalni.

Chirurg podszedł do Zacha z poważnym wyrazem twarzy. Zach poczuł, że kolana pod nim drżą, ale chciał usłyszeć nowiny stojąc. Czuł, że nie będą one dobre.

- Ted Slocum - przedstawił się lekarz, wyciągając rękę.

Zach uściskał jego dłoń.

- Jestem Zach...

- Wiem, kim pan jest, panie Whitelaw.

Zach poczuł drobne palce zaciskające się na jego dłoni i dopiero teraz przypomniał sobie o obecności Jewel. Pochwycił mocno jej rękę, chcąc pocieszyć dziecko.

- Czy ona... Jak ona się czuje? - zapytał.

- Miała poważne urazy wewnętrzne. Nie potrafiliśmy zatrzymać krwotoku.

Krew odpłynęła z twarzy Zacha.

- Chyba nie...
- Żyje - przerwał mu lekarz szybko.
- Bogu dzięki. - Zach przymknął na chwilę oczy. - Och, Bogu dzięki.

- Jej stan nie pogarsza się i myślę, że zupełnie wyzdrowieje. Ale musiałem jej wyciąć śledzionę. A także macicę.

Dopiero po chwili słowa chirurga dotarły do świadomości Zacha. Och, nie, pomyślał. Tylko nie to. Biedna Rebecca. Czuł się odrętwiały, ale wiedział, że ból za chwilę do niego dotrze. Przeżywał coś podobnego już kiedyś, przed laty, gdy podczas rodeo kopnął go koń. Przez chwilę po prostu leżał na ziemi bez tchu, potem spróbował wciągnąć powietrze w płuca i jego pierś przeszył ostry, rwący ból. Teraz odsuwał od siebie chwilę, gdy będzie musiał stanąć twarzą w twarz z rzeczywistością, przyjąc do świadomości treść słów lekarza, chwilę, gdy zacznie odczuwać cierpienie.

- Wie pan, chcieliśmy mieć dzieci. Troje albo czworo. A teraz pan mi mówi, że Rebecca w ogóle nie będzie mogła zostać matką. To jest... - Poczuł, że jego opanowanie znika i ogarnia go ślepa furia. - To nie jest sprawiedliwe, na litość boską! To nie mogło się zdarzyć. Rebecca... Ona... Rebecca... Och, Boże, jak ja mam jej o tym powiedzieć?

- Przykro mi, Zach. Nie mogłem nic innego zrobić. - Lekarz wyciągnął rękę w geście pocieszenia, ale Zach cofnął się o krok. Lekarz ruszył do wyjścia.

- Kiedy mogę się z nią zobaczyć? - zawołał za nim Zach.
- Przez jakiś czas będzie w sali pooperacyjnej. Pielęgniarka da panu znać, gdy żona odzyska przytomność.

Zach opadł na najbliższe krzesło, zakrył twarz dłońmi i przygryzł wargę. Z jego ust wyrwał się okropny, zduszony jęk i odbił się echem o ściany poczekalni.

Teraz dopiero uświadomił sobie, że już dawno podjął decyzję. Nie potrafił wyrzec się Rebeki. Nie umniejszało to jego rozpacz i żałoby po nigdy nie narodzonych dzieciach, po dzieciach, które Rebecca kochałaby tak, jak kochała wszystkie pokrzywdzone, nieszczęśliwe istoty, które stawały na jej drodze. Zach miał wrażenie, że żelazna obręcz ściska jego pierś. Nie mógł złapać oddechu. Jego cierpienie było równie dotkliwe, jak fizyczny ból, którego doświadczył przed laty. Kątem oka dostrzegł na podłodze obok swojego krzesła dwie drobne stópki. Poczul na ramieniu dotyk dziecinnej dłoni. Jewel szepnęła mu do ucha:

- Nie płacz, Zach. Becca wyzdrowieje. Doktor tak powiedział. Podniósł głowę, nie uświadamiając sobie, że po policzkach spływają mu łzy.
- Wiem, Jewel. Tylko że... - Dziewczynka była za mała, by zrozumieć, jakie spustoszenia poczyniła w jego duszy wiadomość o bezpłodności żony.
- Czy jesteś smutny dlatego, że Becca nie może już mieć dzieci? Znów jej nie docenił.
- Tak.

Wsunęła rękę w dziurę, jaką na kolanie jej dzinsów pozostawił drut kolczasty. Jej dłoń znieruchomiła. Po chwili Jewel podniosła głowę i spojrzała mu prosto w twarz.

- Jeśli chcesz, to ja mogę zostać twoją córeczką. Zach poczuł ogarniające go wzruszenie. Wyglądała tak żałośnie, gdy stała i czekała w napięciu na jego reakcję.

- Bardzo bym chciał, żebyś została moją córeczką - wykrztusił z trudem przez zaciśnięte gardło.

Na twarzy dziewczynki powoli pojawiał się uśmiech, jakby od razu nie potrafiła uwierzyć własnym uszom. Potem rzuciła się w jego wyciągnięte ramiona. Zach przytulił ją mocno.

- Och, Becca tak się ucieszy! - zawołała. - Powiedziała mi, żebym się nie martwiła, bo porozmawia z tobą i zmienisz zdanie - przyznała z dziecinną naiwnością. - Tylko że zmieniłeś zdanie sam!

Zach uśmiechnął się z żalem. Owszem, Jewel miała wszelkie prawa do miana córki Rebeki. Będzie miał mnóstwo kłopotów z tymi dwiema kobietami. Bogu dzięki!

Na widok rodziców wracających do poczekalni ukradkiem otarł łzy z oczu.

- Lekarz tu był. Rebecca wyzdrowieje - powiedział.

- Tylko że nie może mieć dzieci - dodała Jewel. Zach spostrzegł wyraz bólu i współczucia w oczach rodziców. Wiedział jednak, że teraz nie może z nimi rozmawiać. Przede wszystkim musiał się zobaczyć z Rebeccą.

- Czy możecie zostać tu przez chwilę z Jewel? Idę do Rebeki. -

Nie czekając na odpowiedź, wyszedł. W chwili, gdy zamykał za sobą drzwi, usłyszał głosik dziecka:

- Ja teraz będę córeczką Zacha i Rebeki. Uśmiechnął się. To powinno na chwilę zająć jego rodziców.

Pielęgniarka skierowała go do separátky, do której przeniesiono Rebecę. W głowach łóżka paliła się lampka. Twarz jego żony była oświetlona, reszta pokoju tonęła w cieniu. Rebecca miała zamknięte oczy, ale otworzyła je, gdy Zach usiadł przy łóżku.

- Cześć, mała - powiedział.
- Cześć, Zach.
- Jak się czujesz?- Jakby mnie koń kopnął w brzuch.

Dotknęła brzucha delikatnie i zmarszczyła brwi, czując pod palcami szwy.

- Zach?

Ujął jej dłoń w swoją i podniósł do ust.

- Lekarz musiał wykonać niewielką operację.
- Jak niewielką?
- Wyciął ci śledzionę. Rebecca odetchnęła z ulgą.
- Czy to wszystko? Chyba mogę bez tego żyć.
- Oraz macicę - dodał Zach cicho.

Wyrwała rękę z jego dłoni i przez jej twarz przebiegł grymas bólu.

- Co powiedziałaś?!
- Stawką było twoje życie. Lekarz nie miał wyboru. Musiał ci wyciąć macicę. - Boże, jak bolesne było obserwowanie jej cierpienia.

- Nie! - wykrzyknęła. - To niesprawiedliwe. Och, Zach, to niesprawiedliwe! Pragnęłam dać ci dzieci. Chciałam...

Niezgrabnie wziął ją w ramiona, usiłując nie sprawić jej przy tym bólu. Oparł jej głowę o swoje ramię i scałował gorące łzy spływające z jej oczu.

- Nie płacz, mała. To nie ma dla mnie żadnego znaczenia. Cieszę się, że żyjesz. Tak bardzo cię kocham...

- Ale...

- Nic na świecie nie jest dla mnie tak ważne jak ty.

- Ale...

- Nie wiem, jak mógłbym dalej żyć, gdyby coś ci się stało.-

Ale...

- Kocham cię.

Rebecca położyła mu dłoń na ustach. Z każdym wypowiedzianym przez niego słowem było jej coraz lżej na duszy. Przeżyła cios, gdy usłyszała, że nie może mieć dzieci, ale teraz bardziej ją interesowała reakcja Zacha na tę wiadomość.

- Powiedziałeś, że jeśli w ciągu roku nie zajdę w ciążę, rozwiedziesz się ze mną. Czy teraz chcesz powiedzieć, że zmieniłeś zdanie?

Odsunęła rękę, żeby mógł się odezwać. Zach energicznie pokiwał głową i odrzekł:

- Mhm.

Rebecca przymrużyła oczy.

- Ożeniłeś się ze mną tylko po to, żeby mieć dzieci.

- Mhm.
- Ale ja teraz nie mogę już zająć w ciążę. Potrząsnął głową.
- To prawda. W gruncie rzeczy jednak, jeśli się nie mylę, masz już jedno dziecko.

Patrzyła na niego przez chwilę, po czym zrozumiała.

- Jewel? Och, Zach, czy naprawdę chcesz ją adoptować?
- Ten dzieciak uparł się, żeby u nas zostać. Przecież nie mogę jej wyrzucić, prawda?

Rebecca uśmiechnęła się przez łzy.

- Och, Zach... Obiecuję ci, że będziemy mieli cały dom dzieci.
- Założę się, że tak - zaśmiał się. - Byłbym głupi, gdybym w to wątpił! Mógłbym się założyć o każdą sumę, że tak będzie.

Roześmiała się. Zach pochylił głowę i odnalazł jej usta. Czuł się tak, jakby wrócił do domu. Serce biło mu szybciej niż zwykle. Omal nie stracił swojej szansy na szczęście. Teraz wyciągał ramiona w stronę życia i miłości. I dzieci. Dzieci jego i Rebeki. Zastanawiał się, kim one są, gdzie się teraz znajdują, i w jaki to cudowny sposób znajdą drogę do jego domu.

- Ile, Zach?
- Co?
- Ile możemy mieć dzieci?
- Och, Boże - jęknął z udawanym przerażeniem. Powinien był to przewidzieć. - Czworo. To zupełnie wystarczy. Ani jednego więcej, pamiętaj. Nie dam sobie rady z większą ilością.
- Dobrze, Zach. Czworo.

Przyjrzał się jej podejrzliwie, po czym potrząsnął głową z rezygnacją i przytulił ją do siebie. Będzie ich więcej. Gotów był założyć się o każdą sumę, że nie poprzestaną na czworgu.

Uśmiechnął się.

- Co cię tak bawi? - zapytała Rebecca.
- Po prostu jestem szczęśliwy - odrzekł. - Jestem bardzo szczęśliwym człowiekiem.

scandalous

EPILOG

Siedmioro. Zach nigdy sobie nie wyobrażał, że po dziesięciu latach małżeństwa będzie ojcem siedmiorga dzieci, ale radził sobie z nimi zdumiewająco dobrze. Jewel miała teraz piętnaście lat. Los obdarzył ją dwiema siostrami i czterema braćmi. Tylko jedno z tych dzieci zaadoptowali jako noworodka. Colt miał siedem lat i tryskał energią. Nie powinno się nikogo faworyzować, ale Zach zawsze miał słabość do Jewel, która jako pierwsza wkradła się do jego serca, i do Colta, który przed nim nie znał innego ojca.

Wszystkie pozostałe dzieci były starsze, gdy je adoptowali, ale każde z nich było mu równie drogie. Dwie dziewczynki, Frannie i Rolleen, miały teraz dziewięć i siedemnaście lat. Pozostali chłopcy, Rabbit*, Jake i Avery, mieli osiem, dwanaście i trzynaście lat. Oczywiście Rabbit tak naprawdę miał na imię Louis. Ale uwielbiał surową marchewkę, sałatę i wszelkie warzywa, toteż Jewel nadała mu taki przydomek, który szybko się przyjął.

* *rabbit (ang.) - królik (przyp. red.)*

Na szczęście mieli kilka osób do pomocy. Pani Fortunata i pan Turtle przed kilku laty zakochali się w sobie i pobrali. Teraz obydwójce pełnili funkcję dziadków zaadoptowanych dzieci. Dzięki Rebecce zawsze był ktoś do pomocy w prowadzeniu rancza. Nawet niektóre

spośród dzieci, które wcześniej przebywały tu na obozie, wracały na Sokole Wzgórze do pracy.

Tak jak Pete, który wbrew wszelkim prognozom przeżył. Teraz miał osiemnaście lat i ostatniego lata pracował na obozie jako wychowawca. Jesienią miał iść do college'u. Chciał zostać paleontologiem. Mówił, że te zainteresowania rozbudziły w nim indiańskie rysunki na ścianach kanionu na Sokolim Wzgórze.

Zach patrzył na Rebeccę, która przemknęła się przez siatkowe drzwi i wyszła na werandę.

- Dlaczego siedzisz tutaj sam po ciemku? - zapytała.
- Tu jest spokojnie... - Zach otworzył ramiona. Rebecca usadowiła się na kolanach męża i przytuliła głowę do jego piersi.
- Myślałem właśnie o tym, że mam mnóstwo szczęścia w życiu - powiedział Zach.

- Obydwoje mamy szczęście, prawda?

- Mhm.

Przy tak wielkiej liczbie dzieci trudno było zazwyczaj znaleźć się sam na sam z żoną choćby na chwilę, toteż Zach upajał się tym momentem. Odgarnął włosy z jej karku i pocałował delikatną skórę. Po tych wspólnie spędzonych latach nadal go podniecała. Po jego ciele zaczęło się rozchodzić przyjemne napięcie. Położył dłonie na jej piersiach. Rebecca zaczęła mruczeć.

- Nie żałujesz niczego, Zach, prawda?

Był zbyt zajęty całowaniem jej szyi, by odpowiedzieć.

- To znaczy, iż żałujesz, że mamy tyle dzieci i żadne z nich nie

jest twoje własne?

Zach gwałtownie podniósł głowę, obrócił się nieco i ujął jej twarz w dłonie. Był zirytowany, że przerwała mu całowanie, by wyjaśnić coś, co, jego zdaniem, zostało wyjaśnione już dawno temu.

- Powiedzmy to sobie raz na zawsze. Wszystkie te dzieci są moje nie tylko dlatego, że je adoptowałem. Kocham je wszystkie. Oddałbym życie za każde z nich. To są Whitelawowie. I zawsze będę błogosławił dzień, gdy pojawiłaś się w moim życiu i zostałam moją żoną. Nie powiem, żeby życie z tobą było łatwe, bo takie nie jest. Czasami wydaje mi się, że nie potrafię sprostać twoim wymaganiom, ale staram się, jak mogę, bo cię kocham. Co też nie zawsze jest łatwe. Bo ja z natury nie jestem tak otwarty i hojny jak ty. I czasami pracuje tu zbyt wielu obcych, tak że nie bardzo wiem, kto jest kim. Ale za nic nie oddałbym ani jednej frustrującej, wspaniałej, fascynującej minuty z ostatnich dziesięciu lat.

- Och, Zach, jak się cieszę, że tak myślisz - powiedziała Rebecca, mnąc w palcach kołnierzyk jego kowbojskiej koszuli. - Bo widzisz, jest taka dziewczynka. ..

- Nie. Kategorycznie nie zgadzam się!

- Ale przed chwilą powiedziałaś...- Siedmioro dzieci zupełnie nam wystarczy. Gdy przyprowadziłaś Rabbita do domu, zgodziliśmy się, że on będzie ostatni. Rebecco, ja mam czterdzieści sześć lat. Mężczyźni w tym wieku rzadko miewają dzieci.

- Ale Cherry ma czternaście lat, Zach. Nie będzie z nią żadnych kłopotów. No, w każdym razie niewielkie.

Zach jęknął.

- Widzisz, ona ma problemy. Trochę wagarowała. Jej zastępczy rodzice w końcu się poddali. Teraz jest w poprawczaku, ale gdybyśmy...

- Dobrze.

- ...zgodzili się zostać jej...

- Powiedziałem, że się zgadzam.

Rebecca zarzuciła mu ramiona na szyję i zaczęła całować go po twarzy.

- Och, Zach, bardzo ci dziękuję.

Rozpięła dwa górne guziki jego koszuli i przesunęła dłonią po odsłoniętej piersi.

- Jesteś najszlachetniejszym człowiekiem, jakiego znam. I bardzo, bardzo cię kocham.

Ośmioro dzieci to nie tak dużo, pomyślał Zach. Ale to już absolutnie ostatnie.

Następnym razem na pewno powie: nie.